12

WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIÉJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Tom IX.

MIESIĄC GRUDZIEŃ

WARSZAWA

1839.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

BLANKA I RÓŻA

Czy nie spoglądacie z prawdziwém rozczuleniem na te rozkoszne kaprysy natury, która rodzi w jednéj chwili z łona tejże saméj niewiasty dwie istoty przeznaczone do postępowania wspólnie na téj drodze życia, stworzone do kochania się tą samą miłością od kolebki aż do grobu.

Czyliż nie zajmie waszą duszę najtkliwsze współczucie dla tych istot które los czyni nierozłączonemi czyliż was widok tych bliźniąt tak silnie spojonych nie zachwyci? W tym związku byłoby dość siły i życia dla jednego stworzenia, dla dwóch zaś jest za mało. I czyliż się aż do łez nie wzruszycie, widząc te dwa słabe jestestwa wspierające jedno drugie, dzielące się wspólnie temi darami których Bóg im dostarczył i przesyłające sobie jak dwa sympatyczne echa, wszelkie pociechy i wszelkie boleści.

W tym to rodzaju był rozczulający obraz który się oczom hrabiego de Mauffraj przedstawił temu dwa lata, w czasie jego sześcio-tygodniowego pobytu w zamku Serigny. Horacy Mauffraj był młodym człowiem mającym lat 32, bogaty i wolny, kryjąc nadzwyczajną czułość pod powierzchnią rozpusty, bardzo wzięty w salonach! gdzie już wyczerpał wszelkie rodzaje rozkoszy światowych a pragnął swobodnego i naturalnego życia po burzliwym i hucznym pobycie w Paryżu. Zamek Serigny odpowiedział zupełnie jego życzeniom. Ale najwięcéj pieścił zużone zmysły Horacego i budził w jego

próżném sercu najpiękniéjsze marzenia, widok dwóch córek właściciela tego zamku, dwóch siotr bliźniąt, w siedemnastym wieku będących, równych w piękności i postawie. Blanka i Róża de Serigny przyczyniły się najwięcéj do skompletowania obrazu który skreśliliśmy powyżéj. Był to związek łączący dwóch aniołów. Wszystkie opowiadania zwyczajne o bliźniętach sprawdzały się w historji życia tych dwojga dzieci. Były tak do siebie podobne z urodzenia że trzeba było wielkich trudności ażeby je rozpoznać. Wychowane razem, karmione témże samém mlekiem przez panią de Serigny, ich przywiązanie do matki tak silnie z wiekiem wzrastało, że jéj miłość i wzrok nie czyniły różnicy między niemi. W ośmnastym dopiero miesiącu, okazała się między niemi różnica podobieństwa. Usprawiedliwiały szczególniéj powierzchownością imiona im dane, jedna albowiem była nadzwyczaj białą i blondynką, kiedy tymczasem hebano we włosy drugiéj otaczały jej rumiane lica. Matka ich powzięła myśl stosownie je ubierać różowo i biało i od téj epoki, była to ich zwyczajna toaleta.

Łatwo pojąć można wzruszenie hrabiego de Mauffraj na widok tych dwóch anielskich postaci. To wzruszenie było tém jeszcze silniéj-

sze, ponieważ połączyło się z pewnym rodzajem sympatji. Dzieląc błędy również jak i korzyści swojego połączenia, Blanka i Roża, mieszały wspólnie swoje słabości z uprzyjemnieniem swojego bytu. Istnienie ich zdawało się być jedném życiem, mimo różności temperamentu; o ile jednéj był melancholicznym o tyle drugiéj był wesołym; jedna dusza zdawała się łączyć ich ciała, tak szybko ich myśli i uczucia zgadzały się z sobą.

Baczność Horacego zwróciła się szczególniéj na Różę i wkrótce się w niéj zakochał. Zajęty myślą zaślubienia jéj i w chwili swojego odjazdu, prosił o rękę córki swoich gospodarzy. Partja tak korzystna, tém bardziéj zasługiwała na potwierdzenie, że zdawała się życzeniom Róży odpowiadać. Zbyt lekka jeszcze do pokochania namiętnie hrabiego, czuła tylko prawdziwą przyjemność w jego obecności i odbierała jego grzeczności z dziecinną zalotnością. Powtórzyła zezwolenie swojéj familji, i dzień połączenia oznaczono w przyszłym miesiącu. Przygotowania do tej uroczystości już się zaczynały, kiedy Róża odkryła jednę bolesną tajemnicę. Radość Blanki ustąpiła przed-

smutkiem i spostrzegano ją niekiedy płaczącą: Roża naprożno starała się ją pocieszać; te dwie tak silnie spojone dusze nie czyniły zadość swojemu połączeniu.

— Blanko, zapytała się jéj nareszcie, może cię moje szczęście czyni nieszczęśliwą? Blada dziewczyna skryła twarz w łonie swojéj siostry i wyznała powód cierpienia — Mogę cię zgubić, rzekła ona, jakże nie mam płakać? następnie odkryła jéj całą siłę swojéj miłości, czego wesoła narzeczona zrozumiéć nie mogła, ale drząc poznawała że jéj siostra ma słuszność. Było to pierwsze poważne wzruszenie tego dziecięcia, i od téj chwili nie mogła patrzeć na Blankę bez czynienia wyrzutów swojemu szczęściu. Widząc zbliżający się kres, Blanka nie mogła uryć gwałtowności swojéj rozpaczy. Biedne dziecię zdradzało się przez wyraźną boleść, i napady czarnéj melancholji. Miała chwile milczącéj zazdrości, w których była tak cierpiącą, iż się obawiano o jéj zdrowie; spostrzegła wkrótce że ją zrozumiano i bąć to to przez odwagę lub chęć udawania, odmieniła zupełnie swoje postępowanie. Uśmiech jeżeli nie swieżość twarzy, często pra-

wdziwszym okazywał się na jéj ustach. Mówiła z szczególną łagodnością i zajęła się czynnie szczęściem dla którego własne poświęcała. Jedném słowem, tak doskonale odgrywała swoją rolę, że wszelka niespokojność co do jéj osoby zniknęła zupełnie w tym domu i że tylko samo Róża nie dowierzała téj zmianie.

Podług zwyczaju przyjętego w téj familji, pan de Serigny postanowił uroczyście obchodzić dzień podpisania kontraktu.

Dwie te siostry okazały się wśród téj uroczystości, bardziéj piękne, bardziej złączone, bardziej zachwycające jak kiedykolwiek. Dzień ten uświetniała radość mieszkańców zebranych z całéj okolicy na tę uroczystość. Każdy z nich składał hrabiemu swoje życzenia, spoglądając na jego piękną narzeczoną; żaden zaś nie myślał o litowaniu się nad jéj piękną siostrą, tak dalece twarz jéj swoją powierzchownością zwodziła. Jéj bladość powiększyła się wieczorem i padła bez zmysłów rozpoczynając bal z narzeczonym. Było to zdarzenie jednéj chwili, podniosła się natychmiast zarumieniona, przypisując ten przypadek zmęczeniu.

Nadaremnie proszono ją ażeby odpoczęła nieco; opierała się ciągle temu naleganiu i tańczyła wciąż aż do północy. Spostrzegła wtenczas że jéj siostra, która ją ciągle w ten dzień uważała, zniknęła z salonu. Uderzona natychmiast przeczuciem którego tajemnicę sama tylko posiadała; pobiegła zapytać matki, hrabiego i wszystkich gości, czyli nie wiedzą gdzie się Róża podziała?

— Moja siostra! moja siostra! gdzie jest moja siostra! wołała w stanie szaleństwa, przebiegając salę w różnych miejscach i przeglądając wszystkie mieszkania w zamku wraz z rodziną która jéj w tych poszukiwaniach towarzyszyła. Nie znaleziono jéj nigdzie, wszyscy pytali się gdzie się narzeczona podziała, a rzeczywiście nikt ją nie widział jak uchodziła. Po daremnych troskliwych poszukiwaniach, ogarnął wszystkich przestrach. Pani Serigny zemdlała w objęciach przyjaciół, gdy w tem bolesny krzyk, który wyszedł z pokoju Blanki rozległ się po całym zamku.

Rzucono się w ogromnym tłoku w tę stronę, i przy dziewczynie bez przytomności leżącéj, znaleziono następujący bilecik na prędce skreślony.

Żegnam cię mój ojcze; żegnam cię moja matko, żegnam cię moja siostro, nie szukajcie mnie albowiem wcale mnie nie wynajdziecie, hrabio de Mauffraj jesteś wolnym, uczynisz inną szczęśliwą, żegnam was.

Róża de Serigny.

W ośm dni po tym okropnym wieczorze, jeden tylko człowiek znajdował się w zamku Serigny. Człowiek ten, o dziesięć lat w jednym tygodniu zestarzały, był to hrabia de Mauffraj a pokój który słabe światło zamieniło w grobowe sklepienie i w którym Horacy obecnie przebywał, był mieszkaniem Róży de Serigny. Wszystko w nim znajdowała się w tym samym stanie jak było rano w dzień zaręczyn. Każdy przedmiot zachował swoje miejsce, gdzie go młoda narzeczona po skończeniu toalety umieściła. Łóżko którego nie miano czasu uporządkować zatrzymało ślad doskonałego ciała które utrzymywało. Poduszki zniżone były do krawędzi łóżka. Dwa małe pantofelki spoczywały na dywanie. Na stoliczku leżały, pogniecione rękawiczki, i grzebień różowy. Kiedy wszyscy z zamku, odstą-

pili już od zamiaru szukania Róży, kiedy każdy sądził nie mówiąc o tém nikomu, że ta nieszczęśliwa zapewnie odebrała sobie życie, Horacy dla pocieszenia siebie, wystarał się o klucz od pokoju swojéj narzeczonéj, i w skutek jego troskliwego czuwania, cały porządek w tym pokoju nie uległ najmniejszéj zmianie. Tam, każdego dnia o jednéj godzinie ten nieszczęśliwy który sobie przypisywał winę tego okropnego zdarzenia, przesiadywał, badał pozostałe relikwie młody dziewczyny, czyli mu czasem jakiego odkrycia nie nastręczą. Niestety! relikwie w milczeniu słuchały jego łkań, tak cała okolica odpowiadała milczeniem na poszukiwania, jak rzeki i drzewa nie wykryły najmniejszego pozoru w rozpaczy będącym rodzicom.

Blanka sama zdawała się posiadać tę fatalną tajemnicę.

Żałoba okryła cały zamek Serigny. Nikt nie śmiał żądać od Blanki wyjaśnienia losu jéj siostry, chociaż z pewnością przypuszczano że jest o nim uwiadomiona. Nakoniec, matka nalegała na nią i przez wzgląd na jéj boleść i na boleść całéj familji, Blanka skłoniła się do odpowiedzi i rzekła:

— Moja siostra umarła dla ocalenia mnie!...

— Ja kocham hrabiego dodała, rzucając się na szyję pani de Serigny!... oto jest tajemnica która truła mój byt aż do dnia zaręczyn Róży. Przeniknęła tę boleść która mnie zabijała. Szczególniejszy pomysł ogarnął ją wśród balu. Tam pomiędzy różnemi papierami znalazła jeden, który mieścił w sobie wyznanie mojéj boleści!

— Ja będę umiała siebie pocieszyć, jeżeli moja siostra kocha hrabiego tak jak ja, napisałam na tym fatalnym papierze; ale dobro które stanowiłoby szczęście całego mojego życia, nie przyniesie jéj jak tylko chwilę roskoszy, a strata którą moja śmierć jéj spowoduje, będzie dla niéj tylko krótko trwałą boleścią. Mój Boże, dla czegóż źródło mojej śmierci pochodzi ztamtąd, gdzie połowa mojego bytu przebywała. Oto moja matko, jéj wyrazy które pod mojemi napisała:

— Nie, Blanko, nie, ty nie umrzesz dla mnie; kochaj i bąć kochaną; żyj i bąć szczęśliwą. Ja nie byłam godną ażeby ci przeszkadzać, a hrabia jest stworzony dla zrozumienia ciebie.

Zastąp moje miejsce przy nim, rozkazuje ci to, i pamiętaj na to, że jeżeli siostra twoja ma znaleść pociechę jaką w oddaleniu od ciebie, to tylko wtenczas jak się dowie że zostałaś hrabiną de Mauffraj.

Róża de Serigny.

— Ten rozkaz zaślubienia hrabiego, rzekła Blanka i to przyrzeczenie pociechy, jeżeli będę posłuszną; czynią mi nadzieję że moja siostra nie umarła.

— Ale osądź matko, czyliż on mnie może kochać, zawołała młoda dziewczyna, pokazując pani de Serigny niepocieszonego hrabiego, który wychodził z pokoju swojéj narzeczonéj...

Cały miesiąc upłynął bez najmniejszéj zmiany w zamku de Serigny. Bardziéj wierny jak kiedykolwiek swojemu ponuremu przywiązaniu do wspomnień będących w pokoju Róży, Horacy de Mauffraj, przepędzał wpośród nich większą połowę dnia, pozbawiając się najmniejszego istnienia radości i zdrowia. Trwo-

źliwe usiłowania Blanki, ażeby osłodzić nieco jego cierpienie, nie przyniosły w skutku jak tylko obojętny nieprzyjemny uśmiech, a pani de Serigny nie śmiała powierzyć swojemu mężowi ważną i bolesną tajemnicę jéj córki. Nareszcie po sześciu tygodniach postanowiła wyznać ją temu który mógł silniéj działać, jak ona, i rzeczywiście pan de Serigny po odebraniu téj wiadomości, osądził za najłatwiejszy sposób do odkrycia prawdy, udać się wraz ze wszystkiemi do Paryża.

Rachował, przez ten nagły krok, wydrzéć Blance konieczność trzymania się warunków przez jéj siostrę podanych, a Horacego oddalić od miejsc które stały się powodem jego boleści. Widząc czułą troskliwość Blanki, hrabia przyzwyczaił się do niéj i widział w niéj swego anioła pocieszyciela. Pragnął w jéj licach odświeżyć wspomnienie żyjącéj Róży, obraz, którego ponura bladość odpowiadała zupełnie jego melancholji... Po kilku miesiącach używania rozrywek w Paryżu, poświęcający się ojciec powrócił ze swoją nieco pocieszoną familją, i jego oko zabłysnęło słodką nadzieję, sko-

ro spostrzegł Blankę i Horacego podających sobie ręce przy wejściu do zamku Serigny.

Roztropna matka, poleciła poprzednio zatrzéć wszelkie ślady któreby mogły wskrzesić rozpacz hrabiego; i kiedy hrabia na progu jeszcze, wyraził życzenie odwiedzenia przede wszystkiém tego fatalnego pokoju od którego klucz zachował przy sobie, każdy chętnie dzielił jego zamiar i sam pan de Serigny, podał mu swoje ojcowskie ramie, ażeby mu przewodniczyć w téj ponuréj pielgrzymce.

Znalazłszy drzwi zamknięte, Horacy podziękował swojemu gospodarzowi, że szanował jego wolę.

— Nikt nie naruszył mojéj świątyni w czasie mojéj nieobecności, mówił daléj; chce znowu obejrzéć moje drogie relikwie, tak jak je ubóstwiałem, patrząc na nie ostatnim razem.

Wymawiając te wyrazy, grobowy uśmiech otworzył w połowie jego blade usta, a potok łez zrosił jego lica.

Drzwi się otworzyły; ale Horacy cofnął się z zadziwienia i prawie z przestrachu, nie znalazłszy tam nieporządku który zostawił.

Hrabia na ten widok, wynurzył skargę, którą złagodziła towarzyszka swoją słodką obroną.

Jego chciwy wzrok, przebiegł cały obręb pokoju...

Wszystko było urządzone z wybornym gustem, który daje nam poznać mieszkanie młodéj dziewczyny, i wszystko w nim błyszczało oświecone rannym słonecznym promieniem. Hrabia szukał naprożno różowych pantofelków, pogniecionych rękawiczek i t. d. Ale zaledwie wydał okrzyk boleści, widząc nieobecność tych świętych dla niego przedmiotów, kiedy znowu uniesienia radości i uwielbienia wydobyły się z niego, gdy spostrzegł te wszystkie drogie pamiątki razem zebrane.

Blanka wychodziła właśnie z alkowy, w ubiorze swójej siostry, a podobieństwo było tak uderzające że mniemał widzieć przed sobą swoją narzeczoną...

Różo! zawołał rzucając się ku niéj prawie w szaleństwie.

I padł bez zmysłów w objęcia Blanki, nie mogąc wymowić ani jednego słowa więcéj.

Państwo de Serigny otoczyli go i zajęli się

nim z wszelką gorliwością; poświęcili wiele starań ażeby go do życia przywrócić.

W dziesięć dni później, dwa podróżne powozy, wracały ze stolicy: w jednym, znajdowali się państwo de Serigny ze służącym i pokojówką, w drugim znajdował się doktór i obłąkany doglądany przez dwie młode panny. Tym obłąkanym był Horacy de Mauffraj a te dwie panny, były Róża i Blanka de Serigny.

Róża która sześć miesięcy swojego zniknienia przepędziła u jednego starego służącego swojéj familji, powróciła do zamku, odebrawszy wiadomości, o nieszczęściu hrabiego, i połączyła z Blanką swoje tkliwe staranie przy nieszczęśliwym. Gdybyście przebiegali opuszczone aleje lasku bulońskiego, w czasie przyjemnych i łagodnych wieczorów ostatniego lata, moglibyście byli spostrzedz powóz biednego obłąkanego siedzącego pomiędzy dwiema rywalkami, które były jego opiekuńczemi aniołami; postać dzika i zmieniona hrabiego, podałaby wam tę okropną myśl, że jego choroba jest nie do uleczenia, a po staraniach wspólnych i gorliwych

Blanki i Róży zrozumielibyście siłę przywiązania i ogniwo łączące te dwie istoty.

Niebo nie chciało to przywiązanie uczynić bezskutecznem i zniszczyć od razu byt trzech tak pięknych dusz. Wyleczony nakoniec przez sztukę, przyjaźń i miłość Horacy de Mauffraj, zaślubił w téj zimie Blankę de Serigny. Nikt nie był mniéj zazdrosnym i hardziéj zadowolonym z tego małżeństwa jak dawna narzeczona hrabiego. Ta szczęśliwa familja zamieszkuje teraz stary zamek normandzki gdzie przepędza czas przyjemnie.

KARA NIEBIOS

Znajdują się noce których piękności mięszczanin nie jest wstanie ocenić, a które wieśniaka zachwycają, szczególniéj kiedy znużony pracą i dziennym upałem, swobodnie przed swoją chatą zagłębia swój wzrok w przestrzeń ciemnéj nocy, gdzie Bóg z wysokości lub z głę-

bi, z drzew lub krzaku spogląda, i w świętéj cichości, śmiertelnemu pewność swojego istnienia wskazuje, i wzmacnia jego serce i duszę!...

Podczas jednéj z takich nocy, siedziała młoda para pod drzewem dębowém, trzymając się za ręce i mając w siebie wlepione miłosne spojrzenie, nad nią rozciągał się błękit nieba a u jéj stóp szeleścił słabo szemrzący strumyk; wokoło zaś nich cisza nocna, a w sercach panowało szczęście młodych kochanków. — Długo siedzieli w milczeniu; spojrzenie młodéj dziewczyny wyrażało siłę miłości; ciemne zaś oko jéj kochanka nacechowane rzetelnością i odwagą, spoczywało na świeżych licach drogiéj mu istoty, i zdawało się oczekiwać niecierpliwie na jakąś odpowiedź. Nareszcie pierwszy przerwał to milczenie?

— Ty zwlekasz długo, Różo, czyż nie możesz wymówić tego słowa na które oczekuję?

— Ale ty także jesteś niecierpliwym, Henryku, rzekła trwożliwie, dla czegóż tak spiesznie? jeszcze mamy dość czasu, stan narzeczonych jest tak rozkosznym.

— Długie oczekiwanie jest bezużytecznem; ja chcę mieć w tobie żonę, ty jesteś mi wzajemną, chcesz się sprowadzić do mojego domu, po cóż to ociąganie? Koło wielkiéjnocy mówiłaś mi: zaczekaj tylko do Bożego Narodzenia! na Boże Narodzenie rzekłaś mi znowu: tylko do Wielkiéj nocy Henryku! Wielka noc znowu upłynęła, mój wodny młyn obraca się w wodzie, moje gospodarstwo jest wybornie zaopatrzone, życzliwi jesteśmy sobie wzajemnie, a jednak pomimo tego dzień wesela jest jeszcze bardzo oddalonym; dość już nakoniec tego, zwodzić się już dłużéj nie pozwolę i powiedz tak, albo nie.

— Henryku, przerwała mu Róża obejmując swoją ręką jego szyję. — Jesteś zbyt okrutnym dla mnie...

— Ja? Ty nią raczéj jesteś! Ty, mówisz mi że mnie kochasz i jesteś jednak za słab wypełnić życzenie serca twojego. Pojmuję przyczynę tego; to ta stara ciebie wstrzymuje.

— Nie ubliżaj Katarzynie, ona jest dla mnie drugą matką, od czasu mojego dzieciństwa; ona

mnie prawdziwie kochała i opiekuje się mną ciągle, Henryku, jak sobie wystawiam widziéć ją w tym domku opuszczoną, kto będzie pielęgnował jéj starość, kto będzie czuwał nad jéj bytem.

Łzy nie dozwoliły jéj mówić daléj, położyła swoją głowę na jego ramieniu i ciężko westchnęła. Każde jéj westchnienie rozdzierało serce kochanka i długo walczył ze sobą i nakoniec rzekł, mówiąc wolno i z wachaniem...

— Ja wiem, Różo, ty jesteś więcéj do niéj przywiązaną jak do mnie; ona będzie przyczyną naszego nieszczęścia, przeczuwam to, skoro jednak żyć bez niéj nie możesz, to sprowadź i ją w imie Boże do mojego domu, chcę ią tak utrzymywać jakby moją rodzoną matkę.

Usłyszawszy to spadł Róży z serca wielki ciężar, wesoło podskoczyła i zawołała.

— Od Niedzieli za ośm dni, Henryku, możesz nam wesele sprawić.

W tym w krzaku powstał szelest, który jakby wąż z raju przedzierał się przez gałęzie, i piękny połowy pies który leżał przy nogach

Heuryka, podniósł uszy, powstał i rzucił się w stronę zkąd chałas pochodził.

Krzyk obił się o uszy Róży, przelękła się gwałtownie:

— Zawołaj na psa, prosiła pełna bojaźni, Henryk świsnął tak że aż cała spokojność tego miejsca wstrzęsła się echem. W wielkich skokach Nero powrócił, Henryk ułagodził to rozdrażnione zwierzę i poszedł następnie z Różą wzdłuż rzeki.

Stali jeszcze chwilę w upojeniu miłosném, kiedy jedenasta godzina uderzyła na wieży kościelnéj, Róża strwożona okryła fartuchem głowę, wyjąkała: dobranoc, i biegła szybko do wsi. Henryk zaś położył się na pagórku okrytym wielką murawą, i bawiąc się z swoim wiernym psem myślał: „A więc bez téj staréj żyć nie może ja chciałem z nią samą tylko być szczęśliwym, Boże udziel nam twojéj pomocy, dozwól ażeby, ona była mojém wszystkiém na ziemi.

Słaby blask lampy rozchodził się w ponurym pokoju; Katarzyna oparta o ścianę zdawała się zasypiać, kiedy Róża zaledwie oddychając wpadła do mieszkania, ale na licach staréj znajdował się niezwyczajny rumieniec i wargi drżały jéj sil-

nie, że dziewczyna przelękniona porwała jéj zimną rękę i mocno zawołała.

— Matko! matko! co ci brakuje? jesteś chorą? Katarzyna przebudziła się, przetarła oczy i przeżegnała się.

— Ach Najświętsza Matko jakiż sen.

— Ty spałaś?

—Naturalnie, jakże można nie spać kiedy panna do północy około młyna krąży; ja śpię już prawie całą godzinę i miałam niegodziwy sen! widziałam ciebie nad przepaścią wody, załamującą ręce, z rozrzuconym włosem, wyglądałaś jak umarła i właśnie kiedy cię rzeka pochłaniała, przebudziłaś mnie.

— Róża spoglądała na nią z bojaźnią, nie okazując jednak najmniejszego wzruszenia; usiadła na ławce i rzekła z przymuszonym uśmiechem: snom wierzyć nie należy.

Tak, tak, odpowiedziała Katarzyna obracając kółko swojego kołowrotka; tak mowią wszystkie grzesznice które z własnéj woli do upadku dążą i nie chcą słuchać przestróg.

Róża rozplotła błyszczące warkocze, spoglądała na swoje zatrudnione palce i mrucząc wyrzekła:

Mój upadek do którego się skłaniam nie jest tak niebezpieczeznym, kwitnący ogród, wygodne otoczone żyznem polem mieszkanie, a w niém piękny narzeczony z otwartą głową i uczciwém sercem; aj matko! gdyby przed dwudziestu laty podobne nieszczęście wam się zdarzyło, poddalibyście się jemu tak jak i ja!

Przepełniona gniewem Katarzyna przestała prząść i bystro spojrzała na piękną dziewczynę.

— A więc rzeczywiście chcesz się sprowadzić do młyna? Nie chcesz usłuchać głosu przyjaźni, osoby która cię pielęgnowała od 16 lat i kiedy ty pozbawiona rodziców mojéj opiece powierzoną została i byłaś przeze mnie uważana jak moje własne dziecko.

— Sądzisz więc matko, że nie pamiętam tych dobrodziejstw, wyrządzasz mi tém wielką krzywdę. Gdybym prawdziwie z dziecinną miłością do ciebie przywiązaną nie była; zostałabym bezwątpienia małżonką Henryka. Czyliż go nie martwiłam od miesiąca, dla zaspokojenia ciebie, ponieważ niecierpisz tego uczciwego człowieka i ażeby ciebie nie opuścić. Ale matko, tego nie

zaprzeczysz, że wasza nienawiść względem tego szlachetnego młynarza jest bezzasadną.

Nie jest to nienawiść, rozumiesz Różo? ja każdego cierpię, wyjąwszy tego nieprzyjaciela, którego młynarz sobie sprowadził a który się stanie powodem waszego nieszczęścia.

Ah matko bez tych wyrzutów! błagała Róża ze łzami w oczach.

Stara uważała ją z boku i jéj głos stał się łagodniejszym, skoro spostrzegła dziewczynę płaczącą, ponieważ dla Katarzyny była ona jedyną miłością; nie dzieliła z nikim pokarmu, świeżego napoju, pięknego dnia, jak tylko z Różą; była dla siebie samej skąpą, ażeby Róża odziedziczyła cokolwiek po niéj, ale Roża saméj sobie dogodzała, stara chciałaby od niéj być pielęgnowaną aż do smierci, i żeby ona panowała nad wszystkiém aż do grobu. W domu zaś Henryka wszystko jemu ulegało, bo Henryk działał z całą siłą dojrzałego wieku, a to się właśnie Katarzynie nie podobało.

Po krótkiém milczeniu, odrzuciła przędziwo na stronę, poprawiła knot lampy ażeby jaśniéj błyszczała; przebierała następnie palcami w zamyśleniu i litościwie spoglądała na dziewczynę,

która obie ręce złożywszy na jéj kolanach, błagający wzrok na nią wznosiła. Wreszcie Róża powoli wyrzekła, jakby obawiając się odpowiedzi matki. Pójść za mąż, muszę raz przecie, panną nie chciałabym pozostać, jest to okropnie na starość nie miéć żadnego opiekuna.

—Opiekuna? i gorżko rozśmiała się stara; owca potrzebuje obrońcy, jeleń sam siebie broni; od tego tylko zależy jak tę rzecz uważać będziemy. Ja jeszcze nie żałowałam żem pozostała wolną, widziałam dość w łzach twojéj matki i w jéj utrapieniu domowém, prawda jest to piękna rzecz iść za mąż. Boże zlituj się! W czasie wesela radość panuje we wszystkich miejscach, taniec i jedzenia, rozkosz, miłość i uroczyste odzienia. W rok późniéj następują chrzciny, ale co ta biedna żona wycierpi nim do tego przyjdzie, potém dzieci zaczynają wrzeszczéć w całym domu, mąż z niego ucieka, żona czuwa z bojaźnią i troskliwością nad swojemi robaczkami. Sąsiadki się schodzą i rozprawiają o mężu, który woli siedziéć w karczmie a niżeli przy robocie. Dzieci się mnożą a robota się zmniejsza. Żona płacze, martwi się i zostaje brzydką. Mąż jest nią znudzony, szuka na zakazaném miejscu rozrywek, w domu zaś jest milczącym i ponurym, powie-

trze chociaż ożywione jest wdziękiem wiosennym w jéj murach zwiastuje wszystko silną zimę. Wszystko to jednak znosi ona jeszcze, modli się i milczy! Ale teraz nadchodzi nocne czuwanie, dziecko jéj leży w gorączce, ma febrę, wyciąga osłabione rączki do matki prosząc o pomoc; ta jednak nie może się oddalić aby pójść po doktora. Mąż siedzi w karczmie zajęty trunkiem i grą, ona jest sama jedna w chacie, wśród nocy! — Kiedy rano powraca do domu, jest już za późno. Okrutna śmierć wydarła dziécię z łona rodziny. Skoro widzi matkę żegnającą się z umierającą dzieciną, wlepiającą swój wzrok w jego martwe lica wtenczas obraz ten wzrusza go, ucieką i dla uwolnienia się od cierpień kończy w nurtach wody życie. — Matka pozostaje jednak w cichéj żałobie i umiera, zostawiając ostatnie swoje dziecie bez opieki i przytułku, litości obcych! Głos staréj, łzy przerwały; mimo tego chciała poskromić to niezwyczajne wzruszenie, zmuszała się do chwilowego śmiechu i zawołała: A jednakże wesele było przepyszne, narzeczony przystojny, dom z wszelkiemi wygodami — był

on także mieszkaniem ich aż do końca; tylko że nie działo się w nim tak wesoło jak w dniu wesela.

— Ach, ach! wykrzyknęła Róża, kryjąc twarz w rękach, i z drżeniem przytulając się do Katarzyny, która podobnież drżała; to jest moja matka, moja biedna matka.

— Tak ona to była, mówiła daléj stara. Przeżegnała się, Bóg niech pociesza jéj biedną duszę i uwolni ją od męczarni których już na ziemi wiele doświadczyła! — Tak, ona to jest o któréj mówiłam; i ja mogłabym tego doznać, i tak miały i jeszcze tysiące mieć będzie. — Ponieważ mężczyzni są złemi ludźmi, gdyby nawet jeszcze raz tak uczciwemi się okazywali; złe wzrosło wraz z niemi i z niemi ciągle postępuje.

Róża była zbyt silnie rozdrażnioną, ażeby się śmiać mogła, ale złość staréj, jéj powaga z którą ostatnie słowa wymówiła, odpędziła od niéj wkrótce smutek i mimochętnie musiała swojego pięknego i uczciwego Henryka z tym obrazem porównać i przekonywać siebie że te złe przymioty nie są jego udziałem.

Katarzyna jéj milczenie źle zrozumiała i mówiła daléj:

— Gdyby twój narzeczony był czém być powinien, dzielnym rzemieślnikiem, pilnym robotnikiem i nie turbował się o nic więcej jak o swój własny młyn i o swoją żonę, to milczałabym natenczas, i chociażby mi to z trudnością przyszło, pobłogosławiłabym wasz związek, ale on nie dla ciebie a ty dla niego, obouczynilibyście siebie nieszczęśliwemi.

Róża z wielką uwagą przysłuchiwała się matce.

— Ja ci zaraz tę rzecz jaśniéj wytłomaczę, mówiła daléj. Ty jesteś piękną, świeżą, tak jak właśnie mężczyzni lubią, ale nie masz nic więcéj jak twoich ośmnaście latek, i zręczną rękę do kuchni i ogrodu, stodół i stajni. — Kiedy z czasem te rumianne lica zapadną się, pozostanie jeszcze dzielna gospodyni i to jest dość dla pracowitego młynarza, tak sądzisz Różo i masz słuszność, ale nie dla Henryka Hubert, jego myśli wznoszą się wyżéj, zaślepia go obecnie twoja piękna twarzyczka, ale jak ten wdzięk zniszczy jedno i drugie dziecko, to tak się z tobą stanie jak z twoją matką. — Henryk był za granicą, jego piękne zatrudnie-

nie jest dla niego dostatecznem; czyliż za powrotem nie poczynił tysiące rozmaitych odmian czyliż po śmierci swojego ojca, nie zniszczył młyna, który przez tyle lat był dobrym i któremu swoje dziedzictwo był winien i pobudował natomiast, machiny, warsztaty i Bóg wie jakie nowości? I czyliż on jest młynarzem? Tak, wtenczas nim jest kiedy ma odbierać pieniędze, ja sądzę jednak że młyn rzadziéj go widzi, jak rozkoszny las; z leśniczemi żyje w przyjaźni, każe towarzyszyć sobie pięknemu polowemu psu, jakiego nawet nasz hrabia nie ma; a przy tem odgrywa dumną rolę w zielonéj kurtce, szarym kapeluszu, z puszką na plecach, poluje całemi dniami, trzyma sobie koczyk, pysznego siwosza i błyszczący zaprząg, czyta książki, i rysuje godzinami. Jestże to postępowanie godnego obywatela i młynarza? Cała wieś mówi o jego dumie i o jego zamiarach. Dla tego też powinnaś unikać jego, albowiem on wcale nie jest mężem dla ciebie.

Róża już dawno o swojéj zgryzocie zapomniała, teraz była bardzo rozgniewaną i jéj lica były rozpalone. Wiecie co matko, kto źle mówi o postępowaniu Henryka, ten kłamie,

oczernia go i jest złym! wymówiła prędko i nie pozwalając przerywać sobie rzekła daléj.,, Że sobie wózek kupił uczynił to jedynie dla mnie, ażeby w Niedzielę kiedy robota spoczywa, zrobił mi tę przyjemność zawieść do kościoła lub na jarmark albo do jakiego miasteczka, w tém nie ma żadnéj dworszczyzny! Że zielony las i polowanie lubi, nie jest to zbrodnią, ja także wolę słyszéć śpiewy ptasząt jak trzeszczenie młyna, oddycham lepiéj zapachem lip i dębów jak kurzem młynarskich machin; nie zaniedbuje swojego rzemiosłą pilnuje ściśle roboczych dni, tylko jeden w ciągu czterech tygodni, poświęca polowaniu a ja mniemam że za to nie można go włóczęgą nazywać.

— Ty jesteś zakochaną, przerwała nakoniec matka jéj ciągłéj mowie i dążysz do zepsucia, już ja to widzę, jesteś zgubioną! O gdyby ci Bóg zesłał takiego lekarstwa, jak mnie to uczynił, byłoby ci lepiéj. Byłam tak świeżą i młodą jak ty i tak wierzyłam w uczciwość mężczyzn jak ty: leśniczy naszego hrabiego był moim skarbem, przystojny człowiek tak

właśnie jak pan Henryk Huber i wszystkie dziewczyny zazdrościły mi tego pięknego młodzieńca, byłam do niego duszą i ciałem przywiązaną. Dwa dni przed ślubem spotkało mnie nieszczęście, dostałam ospy i zamiast na miękkie małżeńskie łoże położyłem się na łóżko boleści. Mój narzeczony nie zobaczył mnie prędzéj aż zaczęłam być zdrowszą; choroba ta zmieniła mi zupełnie twarz, mój leśniczy przeląkł się zobaczywszy mnie i kiedy po raz pierwszy znowu się do kościoła udałam, usłyszawszy zapowiedzie mojego narzeczonego z Dorotą Richter, padłam zemdlona i prawie umierającą zaniesiono mnie do domu. Widzisz oto dowód miłości mężczyzn.

W téj chwili rozległ się się ponury dźwięk wiejskiego zegaru, który uderzył północ. Róża strwożona cofnęła się; Katarzyna przeżegnała się, obie schwytały za lampę a Róża ze drżeniem wymówiła.

— To jest godzina duchów, dziś już po drugi raz szczególną bojaźnią ten zegar mnie przejmuje, jego przytłumione echo i twoje opowiadania matko, mogą śmiertelną trwogą każdego napeł-

nić, udajmy się na spoczynek, jeszcze nigdy tak długo nie pozostałyśmy w nocy; jutro za wejściem słońca wasze myśli będą weselsze a wtenczas mówić daléj będziemy. Stara kiwnęła głową, wyszła naprzód z lampą i w kilka minut późniéj znajdowała się Róża w swojém łóżeczku i przykrywszy kołdrą swoję głowę wyrzekła: żebym największych przeciwności doznać miała panną jednak nie zostanę.

Stara zastanowiła się z trującym uśmiechem nad odebraną raną w nogę i mruczała sobie; jego piękny polowy pies ma ostre zęby, ale ostry język robi jeszcze głębsze rany, czego jeszcze pan Henryk doświadczy. Następnie udała się także na swoje posłanie, długo nie mogła zasnąć myśląc o planach które się tłoczyły w jéj zepsutém sercu.

Jeżeli serce jest przepełnione boleścią albo też radością, sen natenczas ucieka tak od cierpiącego jak od wesołego, Henryk długo jeszcze na pagórku spoczywał i przebiegał wzrokiem sklepienie gwiazdami okryte i sądził że widzi wgłębi tego obrazu wyobrażenie miłości, które uśmiechało się do niego rozkosznie, i im więcéj zapatrywał się w ten przedmiot, tém zdawało mu

się wyraźniéj rozpoznawać rysy twarzy; mniemał, że widzi matkę która się ku niemu pochylała z tém przymileniem jak w chwilach jego dzieciństwa, i zdawało mu się słyszéć jakby wymawiała swemi niewinnemi ustami jak nieraz czyniła kiedy go spać kładła.

— Zostań zawsze wiernym i niewinnym, to opiekuńczy anioł nie opuści cię nigdy i przewodniczyć ci będzie w całéj kolei życia twojego. I jego uczciwe serce pieściło się tém słodkiém wspomnieniem, wyciągnął swoje ramie do nieba i modlił się z takim zapałem, jak dawno już tego nie czynił; ponieważ szczęście czyni dobrych ludzi pobożnemi i wdzięcznemi. Henryk także był dobrym człowiekiem i czuł się być szczęśliwym. Róża nakoniec miała zostać jego żoną i rządzić i panować w jego domu i polu jak niegdyś jego uczciwa matka.

Około rana dopiero pomyślał o powrocie do domu i przechodził z wypogodzoném czołem wzdłuż rzeki dążąc ku domowi którego chuczenie rozlegało się po całéj okolicy.

— Antoni jest jednak uczciwy przyjaciel, mruczał zbliżając się do młyna, nie może ani spo-

czywać ani gnuśnieć; na dobranoc powiem mu o mojém szczęściu, i z tą myślą wszedł w otwarte drzwi i zawołał na starego:

— Antoni, co tam robisz takiego? przecie nie na ciebie kolej czuwania dzisiaj, zostaw ten dozór Xaweremu; pójdź do mnie na przeciwko, połóż się spać i pozwól, że ci jeszcze coś opowiem.

Stary gniewliwie poprawił czapkę i wykrzyczał Xawerego, że zaspał i mruczał sobie o zakochanych głupcach, szalonych chodzących po nocach i o tym podobnych. — Henryk jednak śmiał się z niego serdecznie i pocieszał go mówiąc: Uspokój się stary niedźwiedziu, wkrótce będę mieć dzielną żonę, która mnie uwolni od tego latania.

Stary milczał, weszli razem do domu, nie otwierając ust, jak tylko do nie zrozumiałego mruczenia. Henryk był już do tego przyzwyczajony i pozwolił mu mruczéć; dopiero kiedy weszli do wesołego mieszkania, zawołał radośnie. „Antoni, od dzisiaj za ośm dni będzie moje wesele, ciesz się więc ze mną, ponieważ jesteśmy od dawna przyjaciołmi.

— Wesele? Często już to słyszałem, ale nie uwierzę prędzéj, dopóki weselnego szyku nie ujrzę. Następnie zapalił z obojętnością swoją fajkę.

— Tak, mówię ci, tak, — jest to wesele!,, wyrzekł gniewliwie Henryk i podał swojemu spragnionemu psu miskę z wodą: Ciesz się Nero, wkrótce usługiwać ci będzie twoja piękna gospodyni.

— Biedne stworzenie, mruczał stary litośnie na psa spoglądając, ona będzie miała o czém inném pamiętać jak o tobie.

— Głupcze, sądzisz, że Nero będzie czuł niedostatek, kiedy nowy porządek będzie w domu panował?

— Porządek będzie wprowadzony? Tak, mruczał Antoni, z wesołą panną Rożą będzie nowy porządek ustalony, szczególnie jeżeli ci się podoba ulegać starej czarownicy która jest przy niéj.

— Ta sprowadzi się tu zupełnie, Antoni, mówił Henryk z niejakim kłopotem, ale ja ją będę na wodzy trzymał, w moich murach będzie musiała tańczyć jak jéj zagram.

— Ta stara, Katarzyna, ta się wprowadzi do domu; zawołał zdziwiony Antoni i ręka wraz z fajką odpadła mu od ust, a więc tak dalece zapędziły cię czarne oczy téj lubéj wieśniaczki! Bóg niech ci sprzyja!

Henryk chciał się przymusić do śmiechu, ale nie udało mu się.

— Sądzisz więc że nie jestem dość silnym ażebym w moim domu nie miał spokojności utrzymać?

— W twoim młynie jesteś panem wszystkiego; ale względem kobiét, a szczególniéj Katarzyny, jesteś niczém, ponieważ ta wypędzi na zawsze pokój z twojego domu. Będziesz zgubionym człowiekiem; ponieważ hałas i kłótnia sągorsze jak najokropniejszy cios śmiertelny, skoro sprowadzisz starą w twoje mury, to wszystko ci przewróci do góry nogami; daj lepiej co możesz, a staréj nie wpuszczaj do siebie. Ona ciebie a ty ją nie zniesiesz, straciłeś zupełnie rozsądek że ten okrutny zamysł powziąłeś.

— Nie mogę inaczéj uczynić, przyrzekłem albowiem Róży; odpowiedział Henryk ponuro, o-

na już jest do niéj za nadto przyzwyczajoną ażeby miała ją odstąpić.

— Nie? — Tak? — A więc daj jéj lepiéj pokój, mamy dość uczciwych dziewcząt, które młodemu, przystojnemu i porządnemu mężczyznie sprzyjać będą, które będą się nawet szczęśliwemi cenić, jak na nie spoglądać będziesz; czyliż to ją koniecznie masz wybrać. Żona powinna ojca i matkę opuścić, i zupełnie do męża należéć, mówi pismo święte; jeżeliby was Róża kochała, to nie przedstawiłaby wam tak nieroztropnego żądania. Kiedy zaś ta stara jest jéj milszą jak wy, to nie zasługuje na posiadanie ciebie i daj jej lepiéj pokój.

Henryk zeskoczył z ławki i porwał za hiszpańskę trzcinę która przy drzwiach leżała.

— Chciałem powiedziéć co czułem? mniejsza o to, bijcie jeżeli wam się podoba, ja was na rękach pielęgnowałem kiedy jeszcze małém dzieckiem byliście i nie raz was uderzyłem kiedyście głupstwa robili, i czekam zawsze na pierwsze od was uderzenie.

Henryk zaczerwienił się, ale wznoszące się,

czoło wyrażało dokładnie co myślał, po krótkiém milczeniu, dał staremu kij z złotą gałką który z zagranicy przywiózł.

— Ta trzcina, Antoni podobała ci się zawsze, weź ją i noś w czasie mojego wesela, ale milcz jeżeli nie masz cóś rozsądniejszego do powiedzenia, jak to co dopiero mówił.

— Stary wziął trzcinę, obejrzał ją ze wszystkich stron, postawił ją następnie w kącie i rzekł obojętnie:

— Zatrzymajcie ją dla waszego nowego gospodarstwa, ona wam jest potrzebniejszą, jak mnie ja nie potrzebuję żadngo wsparcia, ja mogę chodzić, gdzie mi się podoba, to jednak nie każdy potrafi.

Wyrzekłszy to poszedł na gorę do swojéj komory, Henryk nie mógł jednak zasnąć, ponieważ rozwijające się światło dzienne wkradało się do okna powoli, a stary jego przyjaciel odszedł w gniewie, to w ciągu lat 18 jak go znał nie stało się jeszcze.

Wesoło i pysznie obchodzono dzień wesela w tym domu. Młyn stał, robotnicy tańczyli i śpiewali, goście śmieli się i rozprawiali, na

rzeczona jaśniała wdziękiem i czerstwością, narzeczony odznaczał się siłą i wspaniałością, stara błyszczała odzieniem świątecznem i uśmiechała się złośliwie. Oczy Róży wyrażały radość a serce Henryka przepełnione było nadzieją szczęścia. Nazajutrz po weselnym dniu Róża z radośném spojrzeniem spostrzegła zapasy różne, które matka Henryka swojemu synowi zostawiła i znalazła między niemi rożnematerje, srebra, miedź, szkło i wszystko co się staje młodego narzeczonéj powodem do zadowolenia.

Z tryumfującą miną oprowadziła opiekunkę swoję po swojéj nowéj posiadłości i pokazywała i ceniła swoje bogactwa, i uwielbiała każdy kawałek który jéj się podobał. Stara także cieszyła się i tryumfowała, ale z innego powodu jak lekkomyślna Róża, ponieważ ona myślała: Jak to będzie wszystko ładne, kiedy do nas należéć będzie, do nas samych.

Pierwszy rok prędko przeminął, w młynie mało zmian zaszło; Henryka prześliczne bronie zostały z sypialnego pokoju na górę przeniesione; bardzo naturalnie, ponieważ Róża miała cór-

kę przy piersi, i obawiała się ażeby się jaki przypadek nie zdarzył, Henryk w prawdzie rzucił bolesne spojrzenie na próżną ścianę, ponieważ broń jego była jego rozkoszą, ale coż się nie poświęci dla młodéj, pięknéj żony, jeśli chciał dostać się do swojéj pięknéj broni którą w Wiedniu kupił, musiał iść pod strych.

Nero bojaźliwie za nim postępował, ponieważ ten wielki polowy pies który zrywał się jak tylko mysz przeleciała, nie mógł się znajdować w pokoju, gdzie stara dzieckiem się zajmowała, to także było bardzo naturalném. Henryk kochał swoją żonę swoje dziecko i spokojność, w skutek tego tak dalece przyszło, że się zaczął powoli pozbawiać wszelkich przyjemności, sam nie poznając, że to jedynie czyni dla utrzymania zgody.

Stara rządziła wszystkiém samowładnie, ale tak cicho i spokojnie, że pan domu nie dostrzegł tego; on obawiał się kłótni i gniewu ale ona się też nie kłóciła, i kiedy Henryk znajdował się w młynie lub w lesie, nie przeczuwało jego szlachetne serce, że stara rzewnemi łzami opłakuje los Róży i że głowę biednéj żony skargami na męża obciąża. Nazywała go włóczęgą, myśli-

wym który sarnę nad żonę i dziecko przenosi, swojém próżnowaniem przyjdzie wkrótce do żebrackiego kija, ponieważ w młynie oszukują go i kiedy sześć godzin poluje, to nie przejdzie z suchém gardłem koło karczmy, gdzie trwoni zarobek cało tygodniowy, i podobnych trujących przedstawień było wiele. Powróciwszy do domu, młody mąż z polowania, z zaczerwienioną od ostrego wiatru twarzą, jego oczy zabłysnęły radością, skoro zobaczył Różę z dzieckiem na ręku; stara zaś kiedy on broń i torbę zdejmował, szeptała do niéj: uważaj jak jest rozpalony, to pochodzi od wina i uważasz jak sie jego szklane oczy świecą, strumieniem leśnym nie złagodził on swojego pragnienia. Ach ten niegodziwy męzki ród! powiedziawszy to otarła oczy i ciężko westchnęła. Skoro znowu Henryk wszedł do pokoju i bawił się z swoją małą Polusią, pochlebiała mu się, znosiła mu to i owo co najlepiéj lubił, i ten niepodejrzliwy człowiek, nie przeczuwał robaka który niszczył, jego szczęście.

Długo przysłuchiwała się Róża gadaniu staréj z gniewem i złością, milczała jednak, ponieważ wiedziała że sprzeciwianie się staréj czyni złe jeszcze gorszém; nakoniec przyzwyczaiła

się do tego zawsze jedno słuchać. Kiedy drugi rok jéj pożycia małżeńskiego się kończył, zaczynała staréj wierzyć, ona była albowiem dobrą ale słabego umysłu, i jéj skłonność dla Henryka stopniowo się zmniejszała, kiedy jego, pewność szczęścia, rozkoszną spokojnością przepełniała. W téj spokojności zdawała się Róża widzieć brak miłości, ponieważ stara chciała tego ażeby ona to dostrzegła; w czasie drugiego połogu kiedy jéj humor znacznie się zmienił, dała przystęp skargom staréj i słuchała ją chętnie. — Szło jeszcze jednak wszystko zwyczajnym sposobem, ponieważ Henryk przypisywał jéj nieukontetowania stanowi w jakim się znajdowała i był cierpliwym i względnym.

Urodził się w tym czasie chłopiec, i Henryk wziął go na rękę, wzniosł go w górę, modlił się za utrzymanie bytu, zdrowie swojéj żony, swoich dzieci i łzy stanęły mu w oczach; wiele kropli spadły na czoło nowo narodzonego i on zrozżalonêm sercem zbliżył się do łóżka Róży. Ta zaś patrzała przed siebie, dziko i ponuro, i nie odpowiadała wcale na jego przymilenia. Długo stojąc oczekiwał na jedno jéj

spojrzenie, ona unikała jego spojrzenia, nakoniec odwróciła z gniewem twarz do ściany. — Wyszedł potém ten biedny człowiek do lasu, i płacząc, boleść swoją pragnął uciszyć i pierwszy raz z zadziwieniem poznał, że jego żona nigdy go prawdziwie nie kochała i nie zrozumiała go wcale, mniemając że mogłoby być serce, które on takby mógł kochać jak ją.

Było to uczucie rozpaczy i żalu, które go silnie ogarnęło, długo błąkał się w różnych miejscach, jemu się zdawało jakby już wszystko stracił, majątek, posiadłości, wszystko co mu przyjemność robiło; w tym momencie uczuł się być bardzo biednym, prawie żebrakiem.

W domu zaś znosiła stara w gorączce będącéj choréj chłodzące napoje i żaląc się mówiła do niéj: Oto ten nieludzki człowiek, teraz złożona jesteś słabością i któż jest przyczyną twojego cierpienia? dla kogóż ten krzyż dzwigasz? dla niego, a teraz on zadość swojéj chęci czyniąc, włóczy się za domem, ten leniuch, który się wcale nie troszczy ani o żonę ani o dzieci.

Róża gorzko płakała, dziecko także, Apolonja płakała także, ponieważ nikt bawić się z nią nie chciał, ale staréj skakało serce z radości, ponieważ spostrzegła przez okno wracającego młynarza, bladego i smutnego; i usłyszała go wchodzącego do swego pokoju, zasuwającego rygiel i nakoniec poznała że jéj nasienie zaczyna wschodzić.

W czasie chrztu jednego dziecięcia znowu panowała wesołość w tym domu, krewni i sąsiadki się zeszły, pili i jedli, załamywali ręce ze wzdrygnienia słysząc o Henryku, o którego rażącéj zmianie stara umiała w sekrecie wiele nagadać. Henryk mało zważał na na twarze swoich krewnych, gniewał się tylko na Antoniego, który ponury i poważny siedział pomiędzy młynarską czeladzią i ani kropli wina nie skosztował.

— Słuchaj no stary, — rzekł do niego nakoniec chwytając za rękę uczciwego starca, — pójdź ze mną na świeże powietrze muszę raz z tobą otwarcie pomówić.

Antoni powstał i oboje wyszli pod lipy przed domem będące.

— Powiedzże mi więc, dla czego już od tygodnia jesteś tak kwaśnym, że aż mi jest smutno, skoro tylko na ciebie spojrzę? dla czego wśród dzisiejszéj radości, siedzisz prawie skamieniały, nie jedząc nie pijąc. — Ja jestem od dzieciństwa przyzwyczajony inną twarz u ciebie widzieć, chceszże mi także moje życie zatruć.

Stary powstał i wlepił wzrok w ziemię, chciał mówić ale nie mógł i wreszcie spłynęły mu łzy po jego zmarszczonych licach.

— Na Boga co ci jest?

— Pozwól oddalić się od ciebie panie, wyjąkał z trudnością stary.

— Jakto, oddalenie? — Czyś rozum stracił?

— Chcę go właśnie zachować i dla tego odchodzę. Czyli jesteś zaślepionym? czy już nie pamiętasz o tém com ci przed weselem powiedział? Stara przewraca cały porządek a ja nie chcę być świadkiem upadku tego domu. — Ja muszę, co dzień, co godzinę, od nich wszystkich słuchać, od nich którzy kradną przez pana zarobione pieniądze, muszę stać przy tem kiedy

was bezczelnie oczerniają, kiedy podżegają waszą żonę i mam o wszystkiém tém milczć? Wczoraj wypędziła mnie z mieszkania, które zajmuję od trzydziestu lat, ja mam w młynie sypiać ponieważ do niego należę! Nie, już dość tego, dłużéj nie wytrzymam; pozwól mi się wyprowadzić albo okropnych awantur narobię.

Henryk zgrzytał zębami, on milczał i wrócił znowu do domu.

Nazajutrz, kiedy czeladź przy śniadaniu siedziała i stara właśnie chciała wyjść z tego pokoju, schwycił ją silnie za rękę przyprowadził ją przed Antoniego i powiedział obojętnie ale głośno:

— Matko, starego Antoniego uważam jak mojego ojca, on jest wierny, nie można mu pod moim dachem na włos ubliżyć, on w swojém mieszkaniu pozostanie, gdzie dzisiaj kazaliście kartofle wysypać, tak długo jak ten dom do mnie należéć będzie, rozumiecie mnie? jeżeli zaś nie możecie się zgodzić z ludźmi, których cenię, to powiedcie mi, waszą chałupę kazałem wyporządzić, ona jest próżną.

Śmiertelna bladość okryła z gniewu twarz

staréj, jéj zatrute spojrzenia padały jak strzały na około, po tém wydarła swoją rękę, zgrzytając. Tego niepotrzebujecie dwa razy powiadać, niewdzięczny człowieka, rzekła i lotem błyskawicy wypadła z pokoju.

Kiedy Henryk po obiedzie z młyna wrócił, znalazł swoją żonę chorą i we łzach. Stara stała już gotowa do podróży przed łóżkiem młynarki i zdawała się przytłumiać swoje cierpienia.

— Ah Henryku! zawołała Róża i wyciągnęła do niego swoje pomarszczone dłonie, czyż na to u ciebie zasłużyłam, że mnie chcesz zabić! że chesz matkę moją z domu wypędzić, ją która opiekuje się całém gospodarstwem, ją która się stała główną podporą mojego bytu. Kto ma o mnie, o dzieciach, o wszystkiém wreszcie mieć staranie kiedy ja się z łóżka ruszyć nie mogę. O dla czegóż ją wypędzasz.

— Ale ja ją nie wypędzam, odpowiedział Henryk smutnie, ona chce sama odejść, ja chcę spokojności w domu, a jeżeli wpośród nas nie może pod jednym dachem znami pozostać, to jest jéj własna wina.

— O, powiedz jéj tylko jedno słowo, błagała Róża zalana łzami, ona jest stara, miéj wzgląd na jéj wiek, jeżeli odejdzie, nie przeżyje tego, a natenczas w ciągu całego twojego życia będziesz musiał znosić wyrzuty ode mnie.

— To byłoby źle, rzekł Henryk poważnie i jego boleść wewnętrzna przytłumiła się. Wyrzuty w ciągu całego życia, to byłoby okropnie. Powiedziawszy to odwrócił się do Katarzyny która na stronie stała.

Zostańcie tutaj matko, czynię to dla mojéj żony, ona mogłaby żyć bez męża i dzieci ale bez was nigdy; wiele zakłada na swojem szczęściu, ona chce pozbawić się swego ciężaru, pozostań więc w domu.

—Czy słyszysz tę dwuznaczną mowę, zawołała stara skoro drzwi za nim się zamknęły. Ty zrobiłaś prawdziwe szczęście. Ale ja chcę się już poświęcić; ty biedne jagnie potrzebujesz obrony przeciw takiemu wilkowi, zostanę przy tobie Różo.

Katarzyna została, Róży kwaśny humor także pozostał i w domu wszystko tak pozostało jak było, tylko z tą różnicą, że Katarzyna nie okazywała panu żadnéj przychylności i tenże cicho i

surowo koło niej przechodził, nie zwracając wcale na nią uwagi.

Te domowe nieprzyjemności już go za nadto zniechęciły, zdjął więc flintę ze ściany i zawołał wiernego Nero; ale ten zielony las z tysiącznemi swojemi tajemnicami, błyszczące się krople rosy, szelest młodych gałęzi, radość ptaków w ciemnym krzaku, nie mogły mu powrócić dawnéj spokojności, jego umysł doznawał ucisku, którego zwyciężyć nie mógł, jego wewnętrzne cierpienie niszczyło go widocznie. Tak miesiące upływały.

Pewnego wieczora, kiedy z młyna do domu powrócił, Antoni zastąpił mu drogę, podał mu z zmarszczoną twarzą rękę, silnie jego dłoń wstrząsnął, i ze spuszczoną głową udał się do swego mieszkania.

Henryk ścigał go pytającém spojrzeniem, starego pewnie znowu kobiety dręczyły, pomyślał sobie i jego czoło stało się posępniéjszém jak poprzednio.

Nazajutrz, kiedy Henryk do młyna przybył, znalazł czeladź milczącą i smutną, najstarszy z nich ocierał sobie łzy które mu obficie spły-

wały. Zdziwiony spoglądał na tych zwykle wesołych chłopców:

— Cóż takiego zaszło, zapytał Xawerego, czy znowu jakie nieporozumienia, gdzie jest Antoni, czemu nie jest między wami.

— Antoni oddalił się, wyjąkał. Xawery, z trudnością łzy swoje wstrzymując, ja mam was serdecznie od niego pozdrowić, i nie macie mu wziąść za złe, ponieważ nie mógł już dłużéj wytrzymać i nie miał odwagi do pożegnania was. Nie chciał stać się przyczyną uiespokojności w waszym domu, nie mógł jednak znieść tego co się w nim dzieje i zgodził się do młynarza w Erbach. Nie macie posyłać po niego, to się albowiem na nic nie przyda; tak, straciliśmy już na zawsze tego starego i uczciwego człowieka.

Henryk zbladł i długo stał nie mogąc słowa wymówić, następnie uderzył się pięścią w czoło i zawołał:

— Odpędzili więc mojego najlepszego przyjaciela. W tém jego wierny pies lizał jego kolano i wzniósł ku niemu swoje oczy z wyrazem, jakby pojmował boleść swojego pana. Ciebie mam jeszcze tylko i kto wie jak długo

cię przy mnie pozostawią, mówił wzruszony, głaszcząc łagodnie to piękne zwierzę; w tém przechodziła stara z najmłodszym jego dziecekiem, poskoczył ku niéj, porwał wesoło dziecko z jéj rąk i pobiegł z niém ku rzece. Dziecię otoczyło rączkami jego szyję, bawiąc się i mowiąc niemowlęcym językiem, jednak zrozumiałym, który silnie do serca ojcowskiego przemawia i Henryk uczuł swoją pierś lżéjszą i pieszcząc się z nim zawołał: Żeby mi tylko to dziecię zostawiła, niech mnie z resztą pozbawi wszystkiego.

Dwa lata przeszły w tym stanie; Róża trzecie dziecko urodziła, które przyszło nie żywe na świat, ponieważ jéj boleści i smutek trapiły ją silnie i powoli spłoszył z jéj twarzy rumieniec i jéj umysł się zmienił.

Henryk mało doświadczyły dni wesołych: wkrótce zaczęli się krewni schodzić, podburzeni przez starą i nakłaniali do zmienienia sposobu życia, następnie zachorowała żona, późniéj dzieci, nakoniec dała mu się wszędzie uczuć nieobecność Antoniego, i to co czynił, było nie dobrem, nie mógł wynaleść w gronie domo-

wych ani jednego przyjaznego spojrzenia. Jego jedyną przyjemnością i rozrywką była Niedziela, którą na polowaniu w lasach trawił, albo téż na przejazdce z dziećmi do jakiego miasteczka; jego żona nigdy mu nie towarzyszyła, ponieważ podbudzałaby tém gniew staréj która jéj parady trzymania wózka znieść nie mogła i kiedy to przedstawiała swojemu mężowi który się temu sprzeciwiał, poczytała to jego odmówienie za brak miłości i obojętność; on zaś nie chciał się jéj grymasom zupełnie poddać i był pewnym siebie, że w swojém zatrudnieniu niczego nie zaniedbuje, i że tę przyjemność skoro nie przeszkadzała jego obowiązkowi, mógł sobie pozostawić i postępował w milczeniu tak jak jemu się zdawało.

Tym sposobem ginęła spokojność domowa a stara zbliżała się co raz bardziej do swojego celu, ponieważ w domu Henryka, gdzie muzyka tak chucznie brzmiała w czasie wesela, rozwijało się podług prawideł niezmiennych życie pozbawione przyjaźni i miłości.

Był to jasny, ale zimny dzień Grudnia, kiedy Henryk młyn opuścił, ażeby na obiad do

domu się udać. Jego piękne, we wszystko zaopatrzone mieszkanie, było o sto kroków od rzeki oddalone i z niego na północ widziano piękną obszerną okolicę a na południe spadek rzeki z młyna do Dunaju. Przed drzwiami stanął Henryk na chwilę i przypatrywał się temu obrazowi na którym słabe światło słoneczne przebywało, jak słaby promień miłości na zmęczoném cierpieniem oku. Dziś go szczególniéj serce bolało, ponieważ to był dzień urodzin jego nieboszki matki, któréj spokojny i porządny zarząd domem, tak długo pozwolił mu być oddalonym od smutku i zmartwień. Oddawał cześć w cichości temu słodkiemu wspomnieniu i zagłębił w sobie to uczucie, albowiem był nie zrozumianym i nie kochanym, niktby nie dzielił rocznicy tak drogiéj dla niego. Kiedy tak stał i myślał, spostrzegł na drodze piękny wóz dzielnym koniem zaprzągnięty, który w galopie postępował; dziwił się nad tym szalonym biegiem konia i kiedy tenże do drogi skręcił szybko ku wodzie, spostrzegł dopiero że jakieś nieszczęście zdarzyło się. Zbiegł z pagórka i zbliżywszy się do wózka spostrzegł

siedzącego w nim człowieka, który naprożno z nieustraszoną odwagą starał się wstrzymać konia, ale ten sko czył na stronę i człowiek wypadł z wozu i wleciał do wody która go wnet pochłonęła.

Henryk zawołał o haki i postronki, pobiegł do brzegu i czeladź sprowadził ze sobą — Nikt nie śmiał wstąpić na lód, Henryk nie namyślał się długo, obwiązał siebie postronkiem i przedsiewziął tę niebezpieczną drogę. Czeladź zaklinała go na żonę i dzieci ażeby o sobie pamiętał, ale on odpowiedział im, pamiętajcie tylko mocno trzymać postronek kiedy będę się spuszczał, resztę powierzmy Bogu. — Lód poprowadził tego silnego człowieka aż do miejsca, gdzie ten nieszczęśiiwy wleciał, który mocno się jeszcze trzymał zapadniętéj z nim powierzchni lodu, ale też i pod nim lud się załamał, i krzyknął, chwytając się jedną ręką za powróz, drugą lud rozbijając przed sobą. Trzymajcie mocno chłopcy, w imie Boże, jeszcze można go ocalić, nie puszczajcie, bo on mnie za nogę schwycił.

Rzeczywiście ten bez przytomności będący

człowiek z ostatniém wysileniem porwał za kolano Henryka i wisiał jak centnar swojemu wybawicielowi, ktory wraz z nim w górę się wznosił. Ale powróz trzymał go nad wodą i po wielkich trudach udało mu się, porwać za drąg który mu podał Xawery, i tyle nim pracował że jego wraz z zemdlonym do brzegu przyciągnęli.

Tam stała Róża śmiertelnie blada, załamywała ręce, gorzko płakała i padła prawie zemdlona mężowi w objęcia. Henryk zapomiał o mrozie i strachu, skoro ją w tym stanie spostrzegł, było mu dobrze i ciepło; przyciskał ją silnie do swojego serca ponieważ znowu widział dowod miłości. Dawno już Róża nie była mu tak przychylną. Kazała położyć uratowanego w gościnnym pokoju. Ona sama przygotowała tragi i po kilku chwilach leżał już w suchych sukniach, na wielkiém łóżku i w ciepłym pokoju; czeladź pobiegła po doktora do wsi, pocierała zemdlonego wódką, aż nakoniec po długich staraniach oczy otworzył. Uczciwy młynarz dziękował Bogu i prawie był dziecinnym z radości; obcy patrzał raz na niego drugi raz na

zatrudnioną Różę, ściskał ich ręce i płakał w cichości ponieważ mówić nie mógł.

Był to dobrze ubrany mężczyzna, dzielnéj budowy, pięknych rysów z wielkiemi uczciwością tchnącemi oczami; mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Około pasa nosił trzos z pieniędzmi, na który teraz wskazał i który mu Henryk, zrozumiawszy jego życzenie, odpiął.

— Wasze pieniądze mogą być schowane' wyrzekł włożywszy w jego oczach trzos do szafy... Nie, nie, z trudnością obcy wymówił. wasz... wasz... — Henryk patrząc się mocno na niego, zamknął szafę i wsunął mu klucz pod poduszkę. Jesteście w mojéj posiadłości, jesteście moim gościem, i nie będziecie mi chcieli opłacać gościnności.

Człowiek ten zawstydzony patrzał przed siebie, podał mu rękę, położył ją na swoje serce i wskazał potém na niebo. — Tak, tak, zawołał Henryk, wesoło, dobry Bóg pozwolił nam z wody się wydobyć, a ja was zupełnie na nogach postawię.

I tak się stało, po trzech dniach chodził sobie Andrzéj Sauden wesoło po pokoju i bawił się

z dziećmi na kolanach albo też serdecznie rozmawiał ze swoim wybawcą, o lasach w tych pięknych okolicach, o drzewie i jego transporcie; ponieważ to był bogaty kupiec z Banat, miał swoje lasy i przybył do Niemiec ażeby odbyć handlową podróż do Amszterdamu.

Na drodze spotkało go to nieszczęście i zatrzymywało go; jego piękny powóz także był strzaskanym, jego piękny koń uszkodzony i sam nie wiedział jak z miejsca wyruszy. Znał stosunki Henryka i rzekł do niego pewnego dnia: Gdybyście mi wasz wózek odstąpić chcieli, możecie żądać za niego co chcecie, a wyświadczycie mi wielką przysługę.

Róża prosząc spoglądała na niego, kiedy pan Andrzéj tak do niego mówił, jéj oczy były znowu tak pełne miłości jak w czasie wesela, ale ani jednego słowa nie wyrzekła: Stara gryzła sobie wargi i uśmiechała się szyderczo. Cóż znowu chcecie, pan Henryk Hubert oddałby prędzéj żonę i dziecko jak swój wózek i swego pięknego siwosza. — Henryk nic nie odpowiedział i tylko wziął kupca pod rękę i wyprowadził go, kazał zaprządz swoj wózek i

pojechał z nim do pobliskiego lasu. Tam ułożył się z nim i oprowadził następnie po wszystkich lasach zadowolonego handlarza drzewa, sam ucieszony, ponieważ wiedział że czyni ofiarę dla Róży, którą ona pewnie oceni, żyła z nim albowiem od dawnego czasu w przyjaznych stosunkach. — I kiedy ci dwaj ludzie przyjemnie pomiędzy śniegiem okrytemi drzewami postępowali, słońce blaskiem swoim kryształowe powierzchnie gałęzi ozdobiło; umysł Henryka odzyskał natenczas dawniejszą swobodę i zatrzymywał się przed każdém drzewem, i jego chęć do leśnictwa, jego wiadomości jstnienia drzewa, rozwinęły się w całéj świetności, a pan Andrzéj gorliwie się im przysłuchiwał, dziwił się nad jego zdatnością i w końcu rzekł mu: Aj, Henryku Hubert, czemu nie ulegasz twojéj wrodzonéj skłonności, dla czego zagrzebujesz twoje wiadomości, czemu nie odstąpisz komu innemu terrźniéjszego twojego rzemiosła, które niczém cię więcéj nie czyni jak prostym młynarzem, mógłbyś zacząć nową spekulacją która przy twojéj znajomości rzeczy, zrobi cię bogatym człowiekiem. Tacy ludzie, jak ty jesteś, mogą nam być użytecznemi

oddal się ze mną do Banat ja ci się wywdzięczę przez otworzenie ci nowéj drogi która cię na zawsze uszczęśliwi.

Henryk potrząsał głową, jego wesołą myśl jeden cios zniszczył.

— Dajcie temu pokój, dobry panie, mówił posępnie, ta nadzieja już nie dla mnie; mój ojciec był młynarzem, ja mam żonę i dzieci, podobne więc widoki niepowinny mnie już zajmować i musi to wszystko w dawnym stanie pozostać, spokojnosć jest mojém szczęściem, mojém życiem, gdybym mógł być ciągle jéj panem, chętniebym zawsze tylko młynarzem pozostał, nawet nie zaglądałbym nigdy do lasu ażeby sarnę lub jelenia ubić.

Postępowali daléj i zagłębili się milcząc w las; uczciwy Andrzéj spoglądał smutnie, na silnego i pięknego mężczyznę, który zdawał się być nie szczęśliwym; ale szanował jego milczenie, nie mówił już więcéj o tém co myślał.

Gdy do domu powrócili, Henryk rzekł do Róży: żono, chcesz jeszcze raz pojechać w twoim paradnym powozie, to wsiadaj w niego szybko, bo jutro będzie własnością pana Andrzeja. Na

tę wiadomość schwyciła z podziękowaniem jego obie ręce i ze zbytku łez nie mogła i słowa wymówić. Stara spostrzegłszy to wyleciała z kąta jak strzała i wyszła z pokoju zatrzasnąwszy drzwi że aż okna zadrżały.

Pan Andrzéj już dawno odjechał, wesołość Róży opuściła jéj lice, ponieważ stara wyrzucała jéj codziennie słabość albo zaślepienie, i tym sposobem w domu Henryka szło wszystko dawnym zwyczajem, a te chwilowe marzenia piękniejszéj przyszłości w duszy Henryka znikały zupełnie.

Bardziéj samotny jak nim był dawniéj, ponieważ nie miał już więcéj swojego siwosza a w młynie nie było także tyle do roboty ile poprzednio, ponieważ w zimie było mniéj do czynienia, jego jedyną rozrywką było polowanie w Niedzielę, ale nawet i to już nie ośmielał się często powtarzać, bo za powrotem do domu znajdował żonę we łzach, a jeżeli starał się ją uspokajać, to doświadczał gorzkich wyrzutów, i wymówek staréj, która sądziła, że prawdziwa miłość dla dziecka i żony niepowinna ani na krok od-

dalać męża z domu, gdy on tym czasem ubiegając się za dziczyzną w lasach, zapomina o wszystkiém, dozwalając ludziom robić w domu co im się podoba.

— Porzuć polowanie, rzekła Róża do niego pewnego wieczora, kiedy z zabitemi ptakami do domu powrócił, co nam po tych przysmaczkach, kiedy je zawsze gorzkiemi łzami oblewam. Gdyby też to tylko było prostém uprzedzeniem, powinienbyś to dla mnie uczynić i porzucić to bezecne zatrudnienie. Henryk ponuro spojrzał przed siebie, i głaskał uszy Neronowi, który mądrym wzrokiem spojrzał na niego jak gdyby chciał powiedzieć: Chceszże więc wszystkie twoje przyjemności dla tych nieznośnych kobiet poświęcić. —Jakby zatopiony w rozmaitych myślach wyrzekł nakoniec młynarz. Mój biedny psie, cóż się z tobą stanie, jeśli masz żyć bez leśnéj przechadzki i wolności, zamknięty w stęchłej izbie, staniesz się posępnym, pozbawiony przyjemności jak twój pan...

— Ja wiem dobrze, zawołała urażona Róża, że to nędzne zwierzę jest ci milszém, jak two-

własne ciało i krew, mnie mógłbyś prędzéj widzieć pogrążoną w żalu i rozpaczy jak tego starego psa pod pięcem; a więc nie rozłączaj się z tém co stanowi pociechę twojego serca.

Głośno płacząc uciekła do pokoju, a Henryk długo jeszcze w témże samém miejscu siedział milczący i zasępiony, dopóki mała Polusia nie przyszła do niego i nie wdrapała się na jego kolana. Apolonja była jego jedyną roskoszą, to dziecie czuło dla niego szczególniejsze przywiązanie, chociaż w obecności staréj bojaźliwie tylko dzieliło ojca pieszczoty; ta mała dziecina nie ośmielała się nigdy stronę ojca trzymać, ponieważ okropnie łajaną była od staréj, okazując dowody miłości dla ojca; ale tkliwiéj za to przytulała się do jego serca kiedy stara nie widziała, albo matki nie było w domu; Róża albowiem często płakała, myśląc że Apolonja kochała więcéj ojca jak ją. — To udręczone dziecko często nie wiedziało co miało czynić— Ojcze mówiła bawiąc się z nim teraz mała i głaszcząc jego zapadnięte policzki, drogi ojcze, bądź tak dobry, nie chodź już więcéj do lasu, odeślij

twojego dobrego Nero, natenczas stara nie będzie się już więcéj kłócić, i cały dom przewracać nim do niego powrócisz, a matka nie będzie już więcéj płakać. Prócz tego Nero i tak ma źle u nas, bo kiedy ty jesteś w młynie, to tutaj każdy go depce nogami, gdzie kolwiekbądź jest zbytecznym, to wierne zwierze często kiedy za domem jesteś nie dostaje jeść, i ja muszę mu nieraz mięso ukradkiem przynosić, żeby ten biedny pies nie zdechł z głodu. Ta stara cierpić go nie może.

Henryk słuchał dziecięcia z gniewem, nic nie wyrzekł, ale jego postanowienie było nieodmienne. Nazajutrz pojechał do miasta, wziął psa ze sobą i późno w wieczór powrócił sam do domu. Gdzie psa podziałeś? zapytała się Róża kiedy w milczeniu wszedł, i jego pies nie łasił się dzieciom jak dawniéj wracając do domu.

— Darowałem go hrabiemu Ernestowi, którego na poczcie spotkałem, on jedzie do Wiednia i wziął go ze sobą. Dał mi słowo że się opiekować będzie tym pięknym psem.

Róża upuściła robotę na kolana i wielkiemi oczami spoglądała na niego.

— Twojego Nero, twojego ulubieńca, twojego ciągłego towarzysza oddałeś komu innemu? wyrzekła prawie ze drżeniem.

— Ty mówiłaś przecie, że to zwierzę jest mi milsze jak żona i dzieci, a teraz nie będzie ci już więcéj przeszkadzał.

— Ach Henryku! odpowiedziała Róża rzucając robotę i obejmując jego szyję; płakała i przyciskała go do siebie i łkając zawołała: Twoje serce jest jednak dobre, niech Katarzyna mówi co chce, ty kochasz mnie jednak.

I ten ciągle ulegający próbom mężczyzna wziął ją w swoje objęcia i płakał także ale z cierpienia, że godzinę przywiązania z kolei pozbawianiem się swoich przyjemności okupić musiał; jednak zbliżenie się Róży czyniło go najdzwyczaj szczęśliwym i przyrzekał sobie nawet i lasu unikać; zebrał swoją broń i schował ją do szafy zamknął ją i oddał klucz swojéj żonie.

Znowu spokojność i pokój zamieszkały w domu. Róża była przychylną jak od wielu lat już nią nie była, stara w milczeniu połykała swoją boleść, i całe trzy tygodnie przeszły cicho i

w zgodzie ale życie ich było ogołocone z powabu i przyjemności.

Było to koło wielkiéj nocy; po nadzwyczajnie silnym mrozie nastąpiło mgliste powietrze, woda z młyna wystąpiła ze swoich koryt, Henryk siedział bezczynny na ławce z Xawerym, ponieważ wezbranie wody uszkodziło młyn, nie można więc było robić; więc mężczyzni mówili o tem i owem, kobiety zaś przędły a dzieci przewracały się po ziemi.

Deszcz lał strumieniem, a nadzwyczajny wiatr wstrząsał co chwila szyby, tak dalece że lampa na stole stojąca każdego momentu zagasnąć mogła. Pan mógłby raz przecie kazać naprawić okna, mruknęła stara, podnosząc z gniewem knot lampy.

Henryk poszedł do okna i zamknął rygiel. Okna nie są zepsute powiedział, trzeba je tylko troskliwie zamykać. Zdawało mu się jakby słyszał jęk przytłumiony który sią rozlegał przed jego domem w chwilę późniéj nastąpiło wyraźne skowyczenie.

— Cóż to jest takiego? zapytała się Róża, Henryk dał jej znak ażeby się uciszyła, i u-

siłował w śród ciemności rozeznać przedmiot, który zdawał się przed drzwiami leżeć.

— To jest Nero! wykrzyknął Henryk i roztworzył okno. — Nero, hej Nero; wołał wśród nocy, na co mu chrapliwe szczekanie odpowiedziało.

— Nero, Nero, powtarzały uradowane dzieci. Henryk wybiegł na dwór, otworzył drzwi i wyprowadził zaledwie wlekącego się psa, który skowycząc czołgał się u nóg swojego pana, lizał jego ręce rozpalonym językiem i następnie opuścił głowę jakby tutaj chciał skończyć.

Henryk nie powiedział ani słowa, wziął psa na ręce i położył go na ławce przy piecu będącéj; to piękne zwierze było prawie nie do poznania; przemokły całkiem, z zakrwawionemi, pokaleczonemi łapami, zdrętwiały z zimna i zaledwie oddychający leżał. Ten biedny Nero, z Wiednia aż do domu szukał sobie drogi, i jego osłabiony wzrok który od chwili do chwili na swego pana zwracał, zdawał się wyrażać: Widzisz, ja byłem wierny tobie który mnie odepchnąłeś. Wszyscy stali w milczeniu około tego

psa, dzieci głaskały go swojemi delikatnemi rączkami, zdawało się w tém przywiązaniu przebywać cóś nadzwyczajnego, a Henryk nie wstydził się téj łzy która na głowę wiernego psa spadła. — Stara tylko rzucała zatrute spojrzenie na to cierpiące zwierze, nie ruszając się z miejsca i mruczała sobie: Aha, widzisz, teraz znowu wszystko dobrze będzie skoro ten pies jest tutaj.

Henryk nie zważał wcale na te surowe słowa. Róża sama przyniesła wina, ażeby rany Nerona obmyć, obwiązano go w ciepłe chustki, posłano mu przy piecu, i nazajutrz czołgało się już wesoło to przywiązane zwierze naprzeciw swojego panu i lizało ręce i twarz skoro ten schylił się do niego i rzekł:

— Mój wierny Nero, teraz pozostaniesz przy mnie, aż do twojéj śmierci, teraz już mnie nie odstąpisz.

Henryk nie mógł się cieszyć posiadaniem czegokolwiek bądź bez przeszkody, i żeby nawet szło tylko o tego jednego psa, tak postanowiła stara w swojém pełném żółci sercu; i kiedy Nero zaczął już przychodzić do zdrowia,

kiedy wczasie nadziei że on doznanych trudów w podróży nie przeżyje spostrzeżono jednego dnia przygotowującą kawał mięsa dla tego biednego zwierzęcia, który mu ze złośliwym uśmiechem podała. — Pożeraj mój piesku, pożeraj, mruczała sobie kładąc mu rękę na jego głowie masz jeszcze dobre zęby, zkosztuj jeszcze raz, jak ci też te troszkę arszeniku smakować będzie. Nero połknął chciwie ten kawałek pieczeni i kiedy Henryk na obiad z młyna powrocił, leżał pies i patrzał przed siebie swoim bystrym wzrokiem, nie słyszał głosu swojego pana, nawet się z miejsca nie ruszył, kiedy jednak wszyscy zasiedli do stołu, podskoczył z ogromnym hałasem, zakręcił się kilka chwil powlokł się do nóg Henryka i — i zdechł.

— To zwierze ma w sobie truciznę. Krzyknął rozgniewany Henryk, wszyscy powstali i wszystkich oczy zwróciły się na starą. Ta jednak spokojnie połykała swoją zupę i obojętnie rzekła.

— To on zapewnie pożarł mięso które

na szczury było w piwnicy pokładzione, znajdowało się w niém nieco arszeniku, pocóż to bydle jest tak żarłoczne.

— Panno Katarzyno, zawołał Xawery, i uderzył pięścią w stół że aż szklanki zadrzały, jeżeliście to uczynili, to wiem jednę osobę któréj życzę połknąć truciznę na szczury z całéj kuli ziemskiéj, byłoby z tego mnie szkody jak z utraty tego ślicznego psa.

Henryk zbladł jak trup, jego spojrzenie leżało na martwém oko psa i niekiedy tylko zwracało się do staréj w któréj rysach poznawał, dowody swojego podejrzenia. Róża z załamanemi rękoma patrzała przed siebie, nie ośmieliła się ani na męża ani na starą spojrzeć, ponieważ drżąc obawiała się w ich twarzach wyczytać pewność tego co jej serce podobnież rozdzierało.

Dzieci schylone nad psem gorżko płakały i wołały na wiernego Nero, jego słodkiem imieniem, ale już napróżno.

Czeladź młynarska nie mogła jeść, zrobiła się grobowa cisza, ponieważ wszyscy dostrzegli burzę którą czoło młynarza przepowiadało.

Milczał i dzisiaj jak to było jego zwyczajem, wziął z Xawerym psa na ręce wyniósł go i nie powrocił już do stołu.

— Matko, szepneła jéj Róża cicho kiedy czeladź milcząc siedziała, — jeżeliście to uczynili to było szkaradnie.

— Ha, ha rozśmiała się stara, to byłoby wielkie nieszczęście gdybym była temu psu dopomogła. Chceszże więc twojego męża znowu polującego i włóczącego się widzieć.

Róża rzuciła nóż i widelec i chciała właśnie wyjść kiedy Henryk wszedł.

— Katarzyno, krzyknął na starę, przygotujcie swój tłomoczek, za dwie godziny powrócę do domu i jeżeli was jeszcze tu znajdę to oknem wylecicie; ja nie chcę mieć jéj tu przy sobie wynoscie się więc.

— I ty to znosisz zawołała na Różę stara zaczerwieniona od gniewu: ta nic na to nie odpowiddziałą, uciekła tylko do swojego pokoju i płakała. — Kiedy Henryk wyszedł i stara ze wzruszeniem żegnała się, i swoją niewinność uwielbiała i przysięgała,że Nero bez jéj wiedzy

zbliżył się do tego zatrutego mięsa; płakała jeszcze bardziéj ponieważ przeczuwała że Henryk nigdy temu nie uwierzy i że to wszystko napróżno. Nie ośmielała się nawet odejściu staréj sprzeciwiać, ponieważ na czole Henryka za wiele surowości wyczytała, ażeby działać w tym razie przeciw jego woli i tak to nasienie złego wyszło na wieś, z wesołym uśmiechem ponieważ wiedziała bardzo dobrze, że spokojność i szczęście na zawsze z ich domu wygnała, i swojego celu teraz bliższą była jak kiedykolwiek.

Henryk ani słowa nie wyrzekł do Róży o zgonie psa, ale także nie zdawał się dostrzegać łez które wylewała z powodu nieobecności swojéj ciotki. Imie starej nie było w domu wcale w spominaném, i jeżeli czasem dzieci udały się do wioski gdzie od Katarzyny różnemi przysmaczkami nakarmione, były ojciec o tém nie wiedział, znajdował się zwykle wtenczas w młynie a skoro powrócił dzieci nic mu o tém niewspomniały; ponieważ ich nierozsądna matka surowo im zakazała, mówić ojcu o tém i namawiała tym sposobem te niewinne dusze do kłamstwa. Nawet ona sama siedziała godzinami potajemnie

u Katarzyny i przynosiła w swojém rozdrażnioném sercu skutek tych odwiedzin, tak dalece że Henıyk jednéj swobodnéjigodziny nie doznał. Skoro po kilku tygodniach swoje wyrzuty głośniejszemi zaczęła czynić, skoro zaczęła mówić o nielitościwych i niekochających mężach i tym podobnie, odpowiedział jéj na to spokojnie młynarz. Różo, nie zadawaj sobie pracy, tak długo jak ja pod tym dachem mieszkać będę, nie wprowadzi się ta czarownica. I na tém się skończyło, ona milczała w cichym gniewie, i tak te dwa serca coraz bardziej oddalały się od siebie.

Henryk brał teraz niekiedy fuzję ze sobą, i bawił się kilka godzin w lesie, ale nie zabiłby ani jednego zwierzęcia, jeśli postrzegł przebiegającego jelenia rzekł do siebie: szczęśliwe zwierzę mamże ci skracać twój byt na ziemi, którym ty tak prawdziwie się cieszysz, i ręka odpadła mu od odwiedzionego kuıka, spojrzał za uciekającym zwierzem i poszedł daléj:

Jednego rana przystąpił w młynie Xawery do niego z zaczerwienionemi oczyma, obracał zakłopotany czapką, trzy razy obcierał usta i zamykał je znowu nie wiedząc jak ma zacząć,

Cóż chcesz takiego? zapytał Henryk zdziwio-

ny, ponieważ Xawery był twardego charakteru i łzy w jego oczach były tak rzadkiém zjawiskiem że słusznie młynarz się przeląkł.

—Panie, zawołał nakoniec Xawery, mam cóś wam powiedzieć ale musicie mi przyrzec że przed swoją żonę nie powiecie, bo inaczej wolałbym nic nie mówić.

— Wszakże znasz mnie że nie jestem gadułą, mów tylko; Róża nie będzie o tém wiedzieć skoro nie chcesz tego.

— Wiecie, zawołał teraz Xawery, że stara oddawna nienawidziła Antoniego, a jak ta kogo nienawidzi, to tego także i pani Róża znieść nie może, ponieważ już raz nieszczęście chce ażeby ślepo ulegała woli Katarzyny. Wiecie, że Antoni bez was żyć nie może; chociaż był od was oddalonym myślał jednakże zawsze o waszym krzyżu domowym, to truło jego życie ponieważ on was kocha jak swojego własnego syna, tak jak my was kochamy. Nieszczęście zrządziło że kiedy w lesie pomagał do włożenia drzewa dębowego, które młynarz jeszcze przed nocą w domu mieć chciał, oś pękła i kloc zleciał i strzaskał staremu oba kolana...

— Jakto? z boleścią zawołał Henryk

Uczciwy Xawery mógł zaledwie daléj mówić, jednak wstrzymując łzy rzekł:

— W chatce będącéj w lesie u Erbacha leży, nie można go było daléj zanieść, on z cierpliwością znosi swoje nieszczęście, ale jego serce tęschni do was. Przed godziną najstarszy parobek z młyna, oświadczył mi, jak mu Antoni polecił; że macie potajemnie przyjść do niego, musi z wami mówić, nie mógłby inaczéj spokojnie umrzéć.

Henryk nie słyszał prawie tych ostatnich słów, był już na drodze do tego domku, jego kolana drżały, jego sumienie mówiło mu: Gdyby Antoni przy tobie był pozostał, gdzie nie potrzebował należeć do tak ciężkich robót, to nie spotkałoby go to nieszczęście, które go może życie kosztować będzie, i któż wtenczas stałby się jego śmierci przyczyną.

Przybył zaledwie oddychając do domu, Róży nie było w domu, dzieci także, tylko służącą znalazł która obiad gotowała. Na jego pytanie. Gdzie jest moja żona? odpowiedziała z wachaniem. — Ja sądzę że u staréj, — Dzie-

ci także? — Te bierze zawsze ze sobą. — Zapewnie co dzień tam idzie kiedy mnie w domu nie ma. — Nie co dzień, tylko wtenczas kiedy jest pogoda, albo kiedy w lesie jesteście.

— Tak! zawołał Henryk rozgniewany, możesz jéj powiedzieć że na obiad nie powrócę, że nie powrócę aż w nocy.

Wyrzekłszy to udał się do szafy, wyjął pieniądze, włożył żywność do myśliwskiéj torby, wydobył parę starych butelek reńskiego wina, które jeszcze od czasów nieboszki matki przechowywał i poszedł w drogę.

Trzy mile do Erbach wkrótce przeszedł, chatka leśna jeszcze o pół mili z tamtąd odaloną była. — Z bijącém sercem wszedł do nędznéj izby i zbliżył się do nieszczęśliwego biedaka, który leżał na łóżku, sam, z przygasłemi oczami w których słaby ogień błyszczał. Kiedy Henryk wszedł do niego, wyciągnął ku niemu rozpaloną i drżącą od febry rękę i wyjąkał. — Ja wiedziałem Henryku że ty przybędziesz.

— Antoni, na miłość boską co się z tobą

stało, — krzyknął Henryk, zbierając całą siłę męzką, bo ten widok przedzierał sią aż do serca. Leżysz tutaj w twoich cierpieniach, bez doktora, bez pomocy, nikogo nie mając ktoby cię pielęgnował.

— Młynarz przysłał mi chłopca do dozoru i doktora, przerwał mu Antoni, ja nie jestem opuszczony; ale ta chata jest w lesie, chłopca posłałem po butelkę wina, a doktora do djabła i skutkiem tego znalazłeś mnie samego.

Henryk wyjął reńskie wino, nalał mu szklankę, przysunął sobie stołek do łóżka i z zakrwawionóm sercem spoglądał na starego, kiedy tenże z zachwyceniem wino połykał; jego usta drzały, a język przylepił mu się do podniebienia.

— Jakiż nektar, westchnął, jakże tęskniłem do kilku kropel wzmacniających i sądziłem że już będzie zapóźno jak przybędziesz.

— Nie mów o śmierci, zawołał Henryk, jesteś silnéj natury możesz być jeszcze uleczonym.

— To także i doktór powiedział, którego odesłałem, rzekł uśmiechają się Antoni, ja sądzę jednak

inaczéj. Jestem sześćdziesiąt i sześć lat stary, a ten człowiek chce mi obie nogi odjąć, pytam się ciebie czyliż daleko mógłbym bez nóg zajść. Jestem już starym czeladnikiem młynarskim, w mojéj młodości byłem nadzwyczaj żywym, pieniędzmi niezmiernie rozrzucałem i poznałem natychmiast, że wiecznie czeladnikiem pozostanę, albowiem na młyn nigdyby nie wystarczyło. W twoim domu szło mi wybornie przez długi czas; od chwili zaś kiedy ciebie opuściłem, życie moje już mnie więcéj nie cieszy; czegóż więc nam pozwalać się przez doktora męczyć, ażeby później jako nędzny kaleka zebrać! Wolę raczéj z obiema nogami do grobu wskoczyć, i chętniebym to uczynił gdybym cie mógł tylko w innym położeniu zostawić...

Henryk pochwycił jego rękę w obie ręce i scisnął ją mocno w swoich, nie mógł mówić albowiem stary sprawiedliwie mówił.

— Nie bierz za złe dobry Henryku! mówił daléj Antoni, ja ci nakazuję: Słuchaj, już nie jestem teraz twoim czeladnikiem, jestem tylko twoim przyjacielem; ja jestem poddanym moje-

go pana a ty jesteś poddanym twojéj żony. Nie przerywaj mi, wysłuchaj mnie spokojnie, teraz albowiem jestem wolnym od bólu i mogę mówić. — Twoje małżeństwo wtrąciło cię w nieszczęście, wiedziałem o tém i mówiłem ci to ponieważ ja ciebie znałem. — Ty nie jesteś do nędznych usług, przeciwnie jesteś dzielnym człowiekiem; ale twoje usposobienie wewnętrzne już dawniéj zginało się do spokojności. Ty jesteś za słabym do rozciągnięcia nad kim swojéj władzy, i dla tego przeczuwałem nieprzyjemności które cię z Różą czekały. Tak się też stało; dla miłości pokoju znosiłeś starą w domu, poświęciłeś wszystkie twoje upodobania, przez to znikł twój wesoły humor. Ty z boleścią przekonałeś się że żona wzięła ciebie jedynie dla zostania bogatą młynarką, a ty rzeczywiście jéj opiekunkę zaślubiłeś. — Stałeś się posępnym i uporczywym, stara korzystała z twoich humorów, ażeby w słabém sercu twojéj żony, nawet ostatnie iskierkę istniejącéj miłości ku tobią przygasić. W całej okolicy okrzyczały cię jako złego człowieka, który żonę i dzieci znieważa, jako włoczęgę

i próżniaka który zaniedbuje zatrudnienia i oddaje się wesołości. Ty już oddawna jesteś sprzedany i zdradzony, nawet twoje dzieci oddają od ciebie. I ja mam przenieść się do grobu widząc ciebie przykutym do tego łańcucha i wiedząc że aż do twojéj śmierci będziesz nieszczęśliwym, ponieważ byłeś za słabym oprzeć się związkowi do którego miłość cię skłoniła. Niech pioruny biją! zawołał stary, czując już działanie posilnego wina, tak nie może i nie powinno pozostać, ty jesteś trzydzieści sześć lat stary i masz głowę, któraby cóś trudniéjszego prowadzić mogła, jak parę kół młyńskich, i masz już być u kresu twojego życia kiedy jesteś dopiero w jego najpiękniejszéj porze? Nie, wolałbym raczéj jeszcze dziś nogi kazać odjąć sobie, gdybym tym krokiem mógł zabić tę przeklętą czarownicę, jak to wszystko przeżyć. Ty musisz uwolnić się od twojéj żony.

— Jakto, rozwód! wykrzyknął Henryk, rozwód? powtórzył przytłumionym głosem, a moje dzieci.

— No i cóż, że rozwód, mruknął Antoni, rozwieść musisz się z Różą, ale musisz do tego

potrzebną siłę posiadać. Jeżeli zaczniesz dopiero mówić o rozwodzie, to nastąpią pytania. Dlaczego? Poco? Nie jestże Róża uczciwą żoną? Cóż takiego uczyniła? Któż może dowieść z czyjéj strony jest słuszność? Następnie zejdą się krewni i sędziowie, i nakoniec ksiądz, każdy namawia do zgody i pojednania, a Róża niechętnie odstąpiłaby od młyna i wypełnionych spiżarń, płacze i jęczy, a na ostatek zeszlą ci na kark dzieci i nauczą błagać i żebrać, ponieważ już dawno do kłamstwa ich przyzwyczaili, a jeżeli zostaniesz, to zrobią z nich zupełnych łotrów; albowiem codzień będą musiały swojemu ojcu pochlebiać i uczyć się oszukiwać go. Henryk wzdrygnął się i przykrył rękami swoje suche oczy.

Do djabła z całą tą historją, mówił daléj stary coraz gwałtowniéj, otoczą cię wszelkim rodzajem namówek, jeżeli o małżeństwie zaczniesz mówić, a ja znam ciebie, w końcu powiesz, tak; i zatrzymasz swoją żonę. Wszystko będzie szło dawnym trybym, a nikt nie będzie się troszczył o twoją biedę, i żaden łagodzący balsam nie powlecze twojego zranionego serca: będziesz ciągle znosił twój krzyż, aż nareszcie znudzony takim bytem

rzeczywiście włoczęgą i próżniakiem zostaniesz, albo samobójstwem zakończysz, od czego cię niech Bóg i jego auiołowie chronią. Działaj więc lepiéj jako człowiek, i niedaj się w ich sidła schwycić; zapewnij majątek swoim dzieciom, i idź w świat który jest bardzo obszernym, Bóg jest wszędzie, i żadnéj rany nie ma, któréjby on swoją opieką nie zgoił.

Po tych słowach opuścił głowę na posłanie, zamknął oczy, i długie omdlenie uwolniło go od widzenia postaci Henryka, którego śmiertelna bladość, zimnym potem zroszone czoło, pozbawiało wszelkiéj przytomności, i nie dozwoliło rozeznania stanu w którym starzec był pogrążonym. Działo stę to około godziny dziesiątéj w nocy kiedy Antoni swobodnie i spokojnie w objęciach Henryka zasnął. Jego koniec był bez boleści i jego przejście do grobu było tak łagodne, jak sen który skleił jego powieki na łonie Henryka.

Do widzenia Henryku, były jego ostatnie słowa; ten zamknął mu jego znużone oczy, wcisnął pastorowi który go pocieszał w jego ostatnich godzinach pełną sakiewkę, prosząc ażeby się zajął przyzwoitém pochowaniem starca. Wy-

padł potém z chaty, i wśród nocy leciał jakby ścigany przez jakiego złego ducha przez Erbach do domu; zegary ze wszystkich stron głosiły uż północ kiedy długość rzeki przebywał, i do wioski się zbliżał, z któréj chałup gdzie niegdzie jeszcze słabe światełka błyszczały; przechodził właśnie koło dębu na spadzistości wierzchołka będącego, był to właśnie ten sam pagórek na którym przed ośmiu laty z wewnętrzną radością otrzymał zezwolenie Róży. Głęboki ból zranił jego duszę, musiał biegnąć prędzéj, albowiem wspomnienie tego co przeszło, i obraz obecnego położenia, wznosiły silnie pierś jego, i dopiero przed młynem stanął i schwycił się poręczy, ażeby bronić samego siebie, trzymał się jéj mocno, ponieważ chęć jego przeważała, sprobować zimnego łoża, które w burzliwych falach u stóp jego szumiało. Mimochętnie zwróciło się jego oko od niegdyś tak ulubionego miejsca, i zdawało mu się, jak gdyby biały przezroczysty cień zsuwał się z dębu i schodził z pagórka i rzucił się na pęd wody, która go na swojéj powierzchni do miejsca gdzie się znajdował przypro-

wadziła. Henryk silniéj wzrok swój wlepił, i wśród ciemności spostrzegł postać płynącą, która zupełnie odpowiadała rysom Róży w czasach miłości. — Krzyknął i odbiegł przerażony skutkiem swojéj wyobraźni, zdawało mu się jakby mu ten cień towarzyszył, biegł żywiéj aż nakoniec na ławkę przed jednym domem upadł, w którym dopiero po kilku chwilach poznał wiejską karczmę.

Był w takim stanie odrętwienia, że z miéjsca ruszyć się nie mógł.

Usłyszał po za sobą znajome głosy, i z otwartego okna mógł zrozumiéć każde słowo, które do jego martwego serca wchodziło.

— Idź pan Ojcze Stefanie, krzyczała gospodyni, i ty także Andrzeju! powinniście być rozsądniejsi; już tak dawno pólnoc wybiła, a wy tak długo siedzicie i dobrą opinją mojego domu psujecie! Co powiedzą wasze żony, nakoniec będą mówić, że jesteście tacy próżniacy i marnotrawni jak młynarz Hubert. Bóg niech pocieszy te biedną kobietę, musi okrutny krzyż w domu dzwigać.

— Ale, właśnie, przerwał gospodarz, nie mów

tak bardzo o tém, kobiety są zawsze głównym powodem tego.

— My? my jesteśmy tak długo udręczane jak żyjemy! czy słyszałeś co on nie narobił, ten niegodziwy człowiek? — Naprzód źle się obchodził z żoną, długi czas musiała to znosić, czyliż cała wieś o tem nie wie? Konie i psy, polowanie, włóczęga, były oddawna jego najulubieńszemi przyjemnościami, z żony, dzieci i młyna, robił sobie tyle co ty z próżnéj butelki od wina! Nareszcie tę biedną starą z domu teraz wypędził, ponieważ mu jego pies zdechł; on sądził że ta uczciwa Katarzyna podała psu truciznę: a nikt inny tego nie uczynił jak on sam. Tak długo jak ona była w domu, musiał się wstrzymywać od złego, ale teraz ta biedna Róża nie może już wcale wytrzymać! Dziś rano wyszedł z domu, wziął worek pełen pieniędzy i starego reńskiego wina, i aż do téj chwili nie pokazał się jeszcze w domu; nie dawno przechodziła tędy młynarka z swojemi biednemi robaczkami! Płakała rzewnemi łzami. Zapewne ma w okolicy jaką kochankę, któréj wszystko znosi, całemi dniami bywa nie obe-

cny w domu, wszystko to może być zatém prawdą.

— Co robiła Róża tutaj w tak późnéj porze, zapytał się gospodarz.

— Dążyła do matki ze swojemi dziećmi; ona mówiła: Jak ten niegodziwy do domu przyjdzie, niech przynajmniéj nikogo w nim nie znajdzie; u kogóż ma szukać pociechy jeżeli nie u swojéj matki. — Dopomoż jéj Boże do zmniéjszenia cierpień które znosi. A teraz wynieście mi się ztąd zaraz.

Henryk dość dla siebie usłyszał, podniósł się i pobiegł do swojego domu. Gospodyni miała słuszność, wszystko było próżném.

Zaspana służąca oświadczyła mu, że żona czekała na niego do godziny jedenastéj, i mniemała że wcale już nie powróci, na to przyszła stara ze wsi, i ona z nią poszła, ponieważ obawiała się samą w domu pozostać.

Henryk udał się do swojéj izby, z drżącemi kolanami.

— Bąć człowiekiem! brzmiało jeszcze w jego uszach. — Bóg jest wszędzie, — i po dwóch okropnych godziny walki ze sobą, zapisał

kawałek papieru i położył go na stole, drugie pismo wygotował do sądu miejscowego i schował go troskliwie, następnie zrobił mały tłomoczek, podzielił całą gotowiznę na dwie części, z których jedną wziął dla siebie, nabił swoją fuzję i wyszedł wpośród zmroku dziennego. Jego oko było suche, ale czoło rozpalone, jego ręka machinalnie fuzję trzymała, która mu na ramieniu wisiała; jego wzrok nie zwracał się już więcéj do rodzinnego domu, dusza jego skryła się wśród bałwanów morza nieopisanéj boleści, a jego oko martwe na wszystko nie drażnił widok miejsc które opuszczał; on był urodzonym w téj pięknéj posiadłości, aby w niéj żyć swobodnie i szczęśliwie, nie mógł przenieść na sobie szukać innéj ojczyzny i inny byt sobie zapewnić.

Bezprzestannie dążył nie widziany, ponieważ głęboka cisza panowała w całéj okolicy, a słaby blask na horyzoncie który nadejście dnia zwiastował, oświecał ten obręb, którego już nigdy okiem swojém zmierzyć nie miał.

Przed domem staréj zatrzymał się chwilę,

serce jego konwulsyjnie scisnęło się, tu albowiem znajdowały się jego dzieci, jedyny związek, który go łączył ze światem, a który naprożno zniszczyć usiłował. Dwa razy obszedł tę chatę, chata była dobrze zamknięta, już zaczynał się wachać, gdy w tém ujrzał że okienko od kuchni było otwarte. Z trudnością dostał się przez nie do chałupy, i szedł słuchając od drzwi do drzwi; grobowa cisza panowała w téj szczupłéj przestrzeni; izbę staréj znał dobrze, chciał jéj uniknąć, ale miły i znany mu głos obił się o jego uszy.

Była to Róża, która w téj izbie mówiła o jego duszy; poddał się w téj chwili władzy roskosznych wspomnień. Róża przeszkodziła wkrotce temu urokowi, mówiąc: O matko, czemuż was nie słuchałam, dawno mi już mówiłaś jak się to wszystko stanie. Naturalnie że nie mogłam czuć dla niego prawdziwéj miłości, skoro on jéj dla mnie nie miał. Teraz wykazało się wszystko, jakim jest, i moja prawdziwa bieda teraz się dopiero zaczyna, ponieważ sądziłam, że już wtenczas byłam dość nieszczęśliwą! Może biegać gdzie mu się podoba, co mi do tego; ale nakoniec ten krwawy zarobek nasz roztrwoni, który takiém

cierpieniem i krzyżem okupiłam; to jest najgorzéj.

— To nie chodź już więcéj do niego, wyrzekła stara, pokaż mu raz przecie że już nie jesteś tém słabém stworzeniem, którém powodować można! Wstydź się w swojéj duszy, że całujesz rękę która cię bije. On przecie tobie i dzieciom musi dać co wam będzie potrzebne, a młyn musi wkrótce do nas należéć, już to będzie mojém staraniem.

Róża milczała, a po dzwięku zdawało się jakby płakała, nareszcie wyrzekła cicho.

— Ach Boże, jestem bardzo nieszczęśliwą kobietą, oby Bóg mnie mógł uwolnić od tego domowego krzyża, to w jego tylko jest mocy.

Krew ścięła się w żyłach Henryka, oddalił się ztamtąd natychmiast. Dzieci musiały w wielkiéj izbie spać, otworzył drzwi powoli. Lampa słabo przyświecała w tym pokoju, w wielkiém łóżku spały dzieci, chłopiec leżał przy ścianie, Apolońja swoją rumianą twarzyczkę do światła odwróciła i zdawało się że wczasie modlitwy zasnęła, miała bowiem rączki na piersiach złożone.

Apolońja wstrząsnęła się trochę, otworzyła oczy i spostrzegła ojca bez przestrachu, jak gdy-

by przeczuwała jego obecność, on porwał ją na ręce i przyciskał to dziecię do swojego cierpiącego serca. Płakał cicho i łagodnie i trzymając ją silnie okrywał ją łzami i pocałowaniami; Polusia płakała, głaskała jego blade policzki i odpowiadała na jego pieszczoty, ale milczała, ponieważ izba jej matki była niedaleko, a jéj instynkt wzbraniał przywoływać ją.

Po chwili milczenia Henryk wyjąkał: Polusiu, idę w daleką podróż z któréj nigdy nie powrócę; nie mogę powiedzieć jak mi tam będzie szło. Bóg jest wszędzie, chcesz udać się ze mną albo wolisz przy matce pozostać.

Dziewczyna spoglądała na niego swojemi pięknemi dziecinnemi oczami i chwilę się namyślała i rzekła nakoniec bojaźliwie: Ale jak matka umrze, ojcze.

Henryk podniósł ją, położył ją łagodnie w łóżku, i powiedział czule ją całując: twoje serce postanowiło, zostaniesz przy matce. Bądź dobrą, łagodną i skromną, kiedy dorośniesz i porządny człowiek starać się o ciebie będzie, to przekonaj się wprzódy czy nie ma cóś na świecie, cobyś bardziéj jeszcze kochać mogła, bądź natenczas rzetelną i daj mu odprawę, ażeby was

to przekleństwo nie ścigało, które mnie obecnie w świat wypędza.

Pamiętaj na te słowa, są to ostatnie które od twojego ojca słyszysz, potém błogosławił dzieci, ucałował jeszcze śpiącego chłopca i wydarł się z rąk Apolonji która w dziecinnej obawie przytuliła się do jego piersi, wyszedł wśród rozwijającego się dnia, rzucił się na ziemię, przycisnął rozpaloną twarz do wilgotnéj trawy i przesłał gorące modły do stwórcy najwyższego.

Następnie schwycił silną dłonią kij wędrowny i pośpieszał szybko w przestrzeń szarą.

Zaledwie słońce weszło, kiedy dało się słyszéć silne pukanie do drzwi Katarzyny, stara gniewliwie podskoczyła, ponieważ dopiero co prawdziwie zasnęła, a Róża przecierała, przelękniona, zasępione oczy; ponieważ przeczucie jakiegoś wielkiego nieszczęścia, ogarnęło ją szybko.

Służąca przybyła, nie oddychając prawie, i opowiedziała: że pan w nocy w domu się znajdował, ale tak blady i roztargniony, że chętnie ustępowała mu z drogi, i udał się do swojego

pokoju. — Kiedy zaś niedawno do jego izby weszła, znalazła łóżko jego nie ruszone, jego zaś nie było ani w młynie ani też w całym domu. Przyszła jéj na to myśl, że wcale już nie powróci, ponieważ na jego stole leżał zapisany papier, którego jednak przeczytać nie mogła. Z wachaniem pokazała go, a po jéj rysach można było poznać że był przez nią czytany. Róża pochwyciła go, spojrzała na niego, przetarła oczy i rzekła. — Matko, przeczytajcie, ja żadnéj litery dostrzedz nie mogę. Ta porwała ten kawałek z wściekłą gwałtownością i przeczytała:

„ My nie możemy już dłużéj z sobą pozostać, Różo, tyś mnie nigdy nie kochała, a prawdziwe przywiązanie nigdy nie istniało w twojéj duszy: pragnę wspólniéj naszéj spokojności, bądź zdrowa i żyj szczęśliwą, jeżeli ci nią być twoje przekonanie pozwoli! Twoje postępowanie było dziełem niegodziwéj kobiety, która dążyła do zniszczenia mojego i twojego szczęścia, niech ci Bóg doda mocy do znoszenia życia dla twoich dzieci, jest ono wprawdzie długie i okropne kiedy jest pozbawione prawdziwéj miłości. Ja

przebaczam ci, Różo, przebacz mi także, i opiekuj się dziećmi które nie są wspólnikami naszych błędów".

Henryk Huber.

Ze zbytniéj radości która w jéj oczach błyszczała, stara zaledwie mogła dokończyć to pismo.

Róża siedziała blada i zimna, jakby nieżyjąca istota, i załamywała drżące ręce, nie mogąc słowa wydobyć; po pierwszy raz poznała dopiero swego złego ducha, którego odkryła wzłośliwym uśmiechu staréj, i ze zgrozą odwróciła od niéj swój przygasły wzrok.

Polusia która cichaczem się wsunęła, płacząc uklękła przy matce i wśród łkań wymówiła: Ah tak, ojciec oddalił się bardzo daleko i już nigdy nie powróci; on mi to powiedział, kiedy w téj nocy był u mnie. — I dziecię to opowiedziało wszystko dosłownie, co jéj Henryk powiedział, i jak gorzko płakał kiedy się z nią rozłączał; usłyszawszy to Róża nie mogła już wstrzymać łez swoich i im bardziéj walczyła ze sobą tém one obficiéj płynęły.

— Tego jeszcze brakowało, zawołała z gniewem Katarzyna, mogłabym uwierzyć że ona opłakuje tego złego człowieka, który haniebnie opuszcza swoje dzieci i żonę i w daleki swiat idzie.

— Ah, wyjąkała Róża, czyż możecie wiedzieć matko, czyli on czasem samobójstwem nie zakończył, może w samotnym lesie albo w rzece życie sobie ukrócił.

— A kiedy tak, rzekła wolniéj stara, niech Pan Bóg się nim opiekuje, on i przed tém nie był wiele wart, nie powinno mnie więc dziwić że i o podobną śmierć się postarał! Udaj się raczéj do młyna i zobacz, czyli ciebie i dzieci żebrakami nie uczynił, to musi teraz być naszém najpierwszém staraniem; co zaś do tego wędrowca, dość wcześnie jeszcze uwiadomieni o nim będziemy.

Róża mimochętnie uległa woli staréj, ponieważ na swoje nieszczęście nigdy innéj woli nie miała. — Sprowadzono się do młyna, w którym znaleziono wszystko w porządku. Spiżarnie i skrzynie wypełnione, jak zwykle, także i połowę gotowizny, którą Henryk rze-

telnie podzielił. Stara zajęła swoje dawne mieszkanie, rządziła wszystkiém jak pani w domu i uważano po niéj jaką jéj to przyjemność sprawiało. Róża w milczeniu potakiwała wszystkiemu. Wszelkie poszukiwania względem Henryka były nadaremne, zniknął zupełnie; a Róża nie wiedziała, czego miała się spodziewać, czy że zakończył życie w nurtach Dunaju, czyli też że pozbawiony stałego miejsca po świecie krąży.

Im bardziéj chciała o nim zapomniéć, tém boleśniéj uczuwała jego stratę, a że serce ludzkie jest już stworzone tak dziwacznie, że dobre nigdy prędzéj nie oceni, dopóki dla niego straconém nie zostanie, tak też obudziła się w niéj na nowo miłość dla Henryka, albo też, zrodziło się nowe nie znane, z żalu i łez które obficie w nocy wylewała, uczucie, które skutkiem swoich męczarń uznała jako karę za słabość dla któréj męża, dzieci, i siebie poświęciła.

Coraz więcéj poznawała w tém karę niebios która mściwie na niéj ciążyła, Henryka wszędzie jéj brakowało; w domu i w młynie szło

wszystko przeciwnie; cokolwiek bądź przedsiębrała nie udawało się, opatrzność nad tym domem nie udzielała już swojéj pomocy, pomimo surowości i ciągłéj pracy Katarzyny, nie mogła utrzymać porządku pomiędzy robotnikami. Xawery po nagłém zniknieniu swojego pana, podziękował za służbę, a większa część czeladzi poszła za jego przykładem; nowi obcy ludzie weszli do młyna, kobiety były oszukiwane, zdradzane; wiedziały o tém ale ani pomocy ani rady dać sobie nie mogły. Jeden robotnik po drugim wchodził i wychodził ale i nowi nie byli lepsi.

Przez długi czas, cieszyła się stara plonem swojego bezowocnego siewu. —Była panią, ona przez swoje pośrednictwo zapewniła dla Róży samowładne rządzenie całą posiadłością. Sąsiedztwo skarżyło się na tęskność Róży po mężu, i winszowało jéj, że w Katarzynie tak wielką pomoc znalazła. Znienawidzony młynarz oddalił się na zawsze, Róży smutek nie potrwa także długo, tak powszechnie sądzili, krótko mówiąc stara dopięła swojego celu i swoje panowanie nad domem w całéj okazałości rozpostarła. Ale jeszcze rok nie zupełnie upłynął, kiedy poznała, że nie wszystko

idzie jakby iść powinno. Wiele ludzi w okolicy głosiło; jak czeladnicy z młyna opowiadali, że tego biednego młynarza dręczono, aż nareszcie musiało przyjść do tego co się stało. Brat Henryka przybył z Czech gdzie posiadał nie wielką własność, obciążył Różę gorzkiemi wyrzutami, i chciał jéj dzieci odebrać i starą wyrzucić z domu, także i krewni którzy dawniéj zniechęcali tę słabą kobietę przeciw mężowi, oskarżali ją teraz że się stała jego nieszczęściem, że sama stała się powodem swojego nieszczęścia; z trudnością uwolniła się od tych skarg i narzekań, broniąc postępowanie staréj; ale wewnętrznie przyznawała im słuszność i czuła, że jest zgubioną na zawsze.

Pomimo sprzeciwiania się staréj, zrobiono publicznie ogłoszenie we wszystkich dziennikach ze strony Róży do zbiegłego, ażeby powrócił do domu, że okoliczności się zmieniły, że nic doznał już nigdy wyrzutów, ażeby tylko do swojéj żony i osierociałych dzieci powrócił. Ale wszystko stało się bezużytecznem, Henryk zniknął na zawsze.

Róża która już ani radości ani smutku nie okazywała, coraz bardziéj traciła na swojéj powierz-

chowności; była milczącą, nie skarżyła się ani płakała, ale Katarzyna doświadczała boleści widząc jedyne stworzenie które było drogiém jéj wyschłemu sercu, niknące powoli. Róża nigdy nie miała złego charakteru, była tylko próżną i słabego umysłu, a jej dusza nie była skłonną uczuć prawdziwéj miłości. Bez téj smoczéj paszczy która dzieliła jéj szczęście, byłaby spokojnie przy boku Henryka swoje życie spędziła, jeżeli nie czując się zupełnie uszczęśliwioną, to przynajmniéj nie zatrułaby własnego i męża swojego bytu, jak tysiące ludzi żyje, którzy umierając sciskają sobie dłonie z wdzięcznością, że jedno drugiego nieszczęśliwém nie zrobiło. Henryk był za nadto szczerze myślącym, i niepodchlebiał wcale swojéj próżnéj żonie, zostawił ją swobodną, ufny w jéj serce, nie doświadczając go wcale i nie sądząc ażeby mogło poddać się namowom staréj co dopiero w skutkach poznał; zabrakło mu znowu z miłości i przyzwyczajenia do zgody, mocy do wstrzymania złego silną dłonią, oboje więc byli nieszczęśliwi, jedno przez błąd drugiego, i tak powszechnie w życiu naszém się dzieje.

Pomiędzy temi kobietami już od dawna u-

tworzył się nieprzyjemny, ponury związek władza Katarzyny nad Różą, doznała uszczerbku, a z nią i jéj serce, ponieważ ze wzgardą odwracała się od niéj, uciekała z pokoju w którym stara przebywała, i często godzinami przesiadywała wśród deszczu i śniegu na wzgórzu pod dębém nad rzeką, nie odpowiadając, wróciwszy do domu, ani słowa na skargi staréj.

Jednego wieczora, było to około Śgo Jana, siedziała Róża jak zwykle na tém samém miejscu i patrzała przed siebie, nie wiedząc, że już długą chwilę Katarzyna przy niej stała, z boleścią serca uważając jéj zapadłe lica.

Nagle wzniosła głowę Róża, potarła ręką czoło i mruczała sobie.—Nie, nie mogę już tam pozostać.

Po tych słowach powstała i chciała się oddalić; Katarzyna padła przed nią na kolana i załamując ręce z rozpaczą zawołała: — Różo, przez miłosierdzie Boskie ty nie wzniesiesz na siebie ręki, niewdzięczne dziecko, czyliż na to u ciebie zasłużyłam?

Silny rumieniec rozwinął się na licach Róży, ze spojrzeniem pełném wzruszenia wzniosła załamane ręce do Nieba i modliła się mówiąc: —Dobry Boże, odwróć twój cios od téj, która względem mnie zgrzeszyła okropnie, ponieważ ta kara musiałaby być straszliwą.

Następnie serce jéj tak dawno zamknięte, wydobyło z siebie całą przyczynę boleści, gorzkie wyrzuty, okrutne skargi, wydzierały się z ust nieszczęśliwéj kobiety; jéj mowa była tak spieszna i silna, ze osłupiała stara, nie śmiała an przerwać jéj ani odpowiedzieć.

Wyliczyła jéj godziny i dnie, w których powoli niszczyła jéj szczęście, i podkopywała miłość jéj dla Henryka, zarzucała mu rzeczy, o których nigdy nie myślał; wiedziała także teraz o tém, dla czego w czasie tego nieszczęśliwego dnia, do domu nie przyszedł i od nié się oddalił, krzyczała załamując ręce: gdybyś mnie była gwałtem z młyna nie wyciągnęła, to znalazłby mój mąż, dzieci i żonę w domu i ten fatalny pomysł nie powstałby w jego uczciwém sercu! Chciałaś nas rozłączyć, ażeby nikt nade mną nie przewodził, ażebym do nikogo

więcéj na świecie nie należała jak tylko do was. Widzisz matko, jaką niegodziwą kobietę uczyniliście ze mnie? Nie możesz przed tronem Najwyższego usprawiedliwić to coś nam wyrządziła! Nie będziesz cieszyć się owocem twojéj pracy, ponieważ teraz poznaję żem Henryka prawdziwie kochała, że nie mogę żyć bez niego, i że nienawidzieć cię będę aż do ostatniéj chwili życia mojego.

Po tych słowach zeszła z pagórka i biegła drogą do młyna, stara zaś w szaleństwie czołgała się po ziemi wyrywając sobie włosy, i przeklinała siebie i tę niewdzięczną, dla któréj całe swoje życie poświęciła; jéj gra była przegraną, ponieważ nienawiść Róży była jedyną korzyścią któréj się spodziewać mogła...

Przy wieczerzy znalazły się znowu razem. Róża nic nie mówiła, nie jadła, nie patrzała na nikogo, nawet na dzieci i odeszła do swojego mieszkania. Stara jak zwyczajnie pokładła dzieci w łóżka, i kiedy Apolonja koło pokoju swojéj matki przechodziła, bolało te dziecinę, że matka jéj dobrej nocy nie życzyła.

Stanęła cicho przy drzwiach, i wolno zapukała i rzekła: Dobranoc mamo.

Na to Róża drzwi otworzyła, w milczeniu przycisnęła dziecię do serca, rozpaloną głowę położyła na jego czole i po długiém milczeniu zawołała jak to czyniła każdego wieczora. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na wieki wieków odpowiedziała Apolonja nabożnie rączki składając.

— Amen! — dodała Róża głośno, wybiegła i drzwi zamknęły się za nią.

Było to koło piątéj godziny rano, kiedy Katarzyna z obłąkaną twarzą, pozbawiona tchu, do pokoju dzieci weszła. — Czy jest Róża tutaj? zapytała się przelękniona.

— Nie, ja nic nie wiem, wyrzekła zaspana służąca.

— To musiała sobie cóś złego uczynić. Krzyknęła stara i wybiegła z pokoju, dążąc do pagórka, gdzie dąb stał i spostrzegła na nim chusteczkę Roży, leżącą nad brzegiem wody i jéj fartuszek w kwiaty, który wczoraj nosiła i wydzierając sobie włosy przebiegała długość stawu aż do miejsca gdzie wpa-

da do Dunaju. Jéj siwe włosy strasz liwie powiewały wśród ostrego wi atru, jéj oczy w całéj sile wydobyły się z swojéj oprawy a jé wzdętéj piersi zaledwie tchu zbywało; mimo tego jednak biegła ciągle. — Jest to kara niebios wielka i zbyt ciężka, wołała i kiedy zbliżyła się do miejsca gdzie się rzeczne fale zaczynają zdawało jéj się jakby wpośród nich spostrzegała cóś ciemnego, co się wznosiło i ginęło znowu; pobiegła przez tratwy do tego miejsca i wołała: Różo, Różo, Boże zlituj sie nad nią! chybiła jeden kloc i wpadła w Dunaj pomiędzy rozłączone tratwy pod któremi gwałtownie znikła.

Wieczorem przyniesiono jéj ciało do domu, a po dwunastu dniach dopiero, wyrzuciła woda Różę, któréj twarz zaledwie można było rozeznać, w odległości ośmiu mil od tego miejsca...

Sądzisz może mój łaskawy czytelniku, żem ci wymyśloną powieść przytoczył, ponieważ podobne okropne obrazy może tylko wyobrażnia poety tworzyć, a przywatne życie nic nam podobnego podać nie może; to jesteś w zu-

pełnym błędzie, który usunę zapewniając cię że to zdarzenie nie jednego serce wzruszyło. To co czytałeś jest rzeczywistą prawdą. Apolonja żyje jeszcze, jakoteż i jéj brat, oboje weszli w związki małżeńskie, ale w duszy Apolonji nigdy obraz drogiego ojca i nieszczęśliwej matki nie wygaśnie. Uczciwi ludzie rządzili tym miernym majątkiem pozostałych dzieci i brat Henryka wychowywał je przyzwoicie i pobożnie. Lata upływały a o ojcu żadnéj wiadomości nie było. Nie jest jeszcze tak bardzo dawno jak jeden z flisów z Peztu przybyły, wszedł do młyna który jest własnością syna Henryka i opowiedział mu. W Peszcie stałem przy mojéj tratwie, kiedy zbliżył się do mnie pewien człowiek, z bladą ale przyjazną twarzą i zagadywał mnie o tém i o owém, pytał się o moją ojczyznę, i skoro usłyszał, że ta okolica jest mojém rodzinném miejscem, zawołał nagle. Jak też tam idzie dzieciom Henryka Huber i co Róża robi.

— Róża wskoczyła w rzekę. Stara wpadłą pomiędzy tratwy, obie nędznie zakończyły. Andrzéj Huber wychował dzieci, Apolonja została dzielną gospodynią, ma trzech zdro-

wych chłopców, i dobrze się jéj dzieje; syn objął młyn i ożenił się z piękną i spokojną dziewczyną.

Człowiek ten zbladł jeszcze bardziéj i znowu się zczerwieniał, przetarł ręką oczy i członki jego drżały; nagle zdjął rękę z oczów, i spoglądał na mnie z takiém wzruszeniem, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem, i łzy spadały po jego licach. Powiedz dzieciom Huberta, że ojciec pozdrawia ich serdecznie, że zyskał nakoniec wewnętrzną spokojność, i jeżeli Bóg dozwoli, usłyszą jeszcze o nim dobre wiadomości.

Po tych słowach zniknął w tłumie ludzi którzy zbierali się dla kupienia drzewa i nigdy go już późniéj nie widziałem. Niektórzy znali go z widzenia i oświadczyli że to był kupiec drzewa z Banat, o jego nazwisko i inne jego stosunki daremnie się wypytywałem.

Dzieci Huberta łzy boleści i rozkoszy wylewały i dozwoliły swoim sercom pieścić się nadzieją, która jeszcze i dziś ich zajmuje.

LEOKADJA.

Podczas letniego wieczora przy pięknym blasku księżyca, około godziny 11téj, jeden stary i biedny szlachcic powracał z przechadzki z za miasta Toledo, z swoją żoną, córką mającą lat 16 i jedną służącą, co składało całą jego rodzinę. Starzec ten biedny ale cnotliwy nazywał się don

Ludwik; żona dona Marja a córce któréj piękna dusza przewyższała jeszcze anielską jéj postać, imie było Leokadja

W tymże samym czasie udał się na przechadzkę pewien młody rycerz mający lat dziewiętnaście, imieniem Rudolf, który mimo szlachetnego rodu i bogactw, nie posiadał jednak dobrych obyczajów. Był on wówczas otoczony rozpustnemi towarzyszami, również jak on winem zagrzanemi. Rozwiązłe to towarzystwo idąc spotkało starego don Ludwika i jego rodzinę; było to spotkanie wilków z owcami. Młodzi ci ludzie zatrzymali się przez niejaki czas spoglądając zuchwale na dobrą matkę i jéj córkę. Jeden w pół obejmuje służącą, co oburzyło starego szlachcica; gniew okazany zamiast wstrzymać dalszą napaść, ściągnął z ich strony na niego obelgi. Drżąca ręka obrażonego starca dobywa miecza: Rudolf śmiejąc się, rozbraja go, porywa młodą Leokadję, bierze ją na ramiona i ucieka z nią ku miastu, w towarzystwie swych występnych kolegow. Podczas gdy stary don Ludwik przeklinał swoją niedołężność, dona Marja wydawała głośne krzyki, a służąca rwała się za włosy, nieszczęśliwa Leokadja była bez zmysłów w objęciu

Rudolfa który przybywszy do swego mieszkania otworzył skryae drzwi, a pożegnawszy się z swemi niegodziwemi przyjaciołmi, wszedł tam z swą nieszczęśliwą ofiarą, Niepostrzeżony od swych słnżących zamknął się w izbie i nim Leokadja odzyskała zmysły, popełnił on największą zbrodnię jakiéj tylko rozpusta dopuścić się może.

Rudolf zadość uczyniwszy swojéj dzikiéj żądzy pozostał przez niejaki czas nieporuszony, nie wiedząc co począć: doznawał zapewnie zgryzot sumienia gdy Leokadja przyszła do siebie. Ponura ciemność panowała w tém mieszkaniu.

Leokadja wzdychając zawołała słabym głosem:

O matko moja! matko! gdzie jesteś? mój ojcze odpowiedz mi..: gdzież jestem? co znaczy to łóżko?... O Boże! o mój Boże! czyżeś mnie zupełnie opuścił? Lecz któż mnie słyszy.....

— Czy się już znajduję w grobie?..... ach! nieszczęśliwa!... nieba tak chciały.

W téj chwili Rudolf bierze ją za rękę; nieszczęśliwa wydaje krzyk przeraźliwy, wyrywa

mu się gwałtownie, i kilka kroków postępuje, Rudolf idzie za nią. Wtedy pada na kolana wzdychając i żałosnym odzywa się głosem: — O ty, ktokolwiek jesteś, ty który byłeś przyczyną mojego nieszczęścia, ty który mnie uczyniłeś najnędzniejszą z istot, jeżeli twoje serce posiada jeszcze najmniejsze uczucie honoru, jeżeli masz cokolwiek litości! błagam cię, zaklinam cię abyś mi życie odebrał; przez ten jedyny środek mógłbyś naprawić to złe któreś mi wyrządził. Na imie Boga, na imie tego wszystkiego co kochasz, jeżeli miłujesz jaki przedmiot; zabij mnie. Możesz to śmiało wykonać, nie narażając się na najmniejsze niebezpieczeństwo! wszak jesteśmy sami bez świadków, nikt się nie dowie o twojej zbrodni, nie będzie ona tak wielka jak ta któréjś się dopuścił, ja wszystko ci przebaczę, jeżeli mi śmierć zadasz, która mém jedyném tylko może być ocaleniem.

To rzekłszy czołgała się do Rudolfa, aby ująć jego kolana. Rudolf na to nie odpowiadając wyszedł z komnaty drzwi za sobą zamknąwszy.

Zaledwie co wyszedł, Leokadja podniosła się, zbliżyła się do ściany, a szukając rękami znalazła okno które otworzyła aby niém wyskoczyć. Mocne kraty przeszkodziły jéj wykonać straszny ten zamiar; lecz jaśniejący księżyc przebijał się przez kraty i całe oświecił mieszkanie. Leokadja stała nieporuszone, oglądając na około siebie znajdujące się meble i inne przedmioty, i niebawem znalazła na stole złoty krucyfix, wzięła go sobie, i schowała go w zanadrzu. Potém zamknęła znowu okno, i oczekiwała w ciemni zbrodniarza mającego jéj los roztrzygnąć.

Nie długo potém nadszedł Rudolf: był sam i ciągle bez światła zostawał. Zbliża się do Leokadji, zawiązuje jéj oczy chustką, bierze ją za rękę, ani słowa do niéj nie mówiąc, wyprowadza ją z izby. Idąc blisko wielkiego kościoła, zostawił tam Leokadję, a sam czém prędzéj się oddalił.

Leokadja stała tam przez niejaki czas nie ważąc się zdjąć chustki jej oczy zasłaniającéj.

Nakoniec nie słysząc już żadnego szelestu, zdejmuje chustkę, i ogląda się na około. Wi-

dząc się sama blisko wielkiego kościoła który zaraz poznała, upadła na kolana zasyłając do Boga gorące swe modły. Po skończeniu modlitwy podniosła się i drżąc cała zaledwie dojść mogła do domu swych rodziców.

Stroskany ojciec z swą niepocieszoną małżonką opłakiwali właśnie jedyną córkę. Don Ludwik usłyszawszy pukanie, pobiegł otworzyć drzwi, gdzie ujrzawszy Leokadją wśród okrzyków radości mocno do serca ją przycisnął.

Matka na ten krzyk przybiega, rzuca się w objęcia swéj córki; wszyscy ją ściskali, nazywali ją swém drogiém dziecięciem, jedyną pociechą, jedyném wsparciem starości. Rodzice oblewając ją łzami ustawicznie ją się potali nie dając nawet czasu do odpowiadania...

Nieszczęśliwa Leokadja uwolniona od czułych uścisków padła do nóg,ojcu i z spuszczonemi oczyma i pełna wstydu opowiadała całe to zdarzenie. Nie mogła nawet dokończyć tego opowiadania. Stary don Ludwik podnosi ją i do serca przyciska. — Droga moja córko, rze-

cze, shańbienie to jest zbrodnią, lecz ty jéj nie popełniłaś bynajmniéj. Oddal od siebie tę myśl, możeż ona czynić ci jakie wyrzuty? Nie moja córko, ty ciągle jesteś tą samą, ciągle moją rozsądną Leokadją; a moje ojcowskie serce poważa cię, szanuje, uwielbia, może jeszcze bardziéj niż przed twojém nieszczęściem.

Leokadja uspokojona temi słowy podniosła swe oczy spoglądając na ojca, poczém pokazała mu krucyfix który wzięła, w tém celu, że jéj może posłuży do poznania zbrodniarza. Starzec patrzał przez niejaki czas na krucyfix na który łzy jego spadły. O mój Boże! zawołał, oby twoja wieczna sprawiedliwość dozwoliła mi poznać nędznika który shańbił najdroższą mi istotę, oby raczyła pokazać go mym oczom, a mimo méj słabości jestem pewny, że zmyję tę hańbę krwią jego nieludzką.

Uniesienie don Ludwika powiększyło boleść Leokadji; dobra jéj matka uspokoiła ją, wydarła krucyfix starcowi, który zapomniał swego gniewu chcąc na nowo pocieszać swoją córkę. Po krótkim czasie przepędzonym wśród płaczu i boleści, nieszczęśliwa Leokadja zdawała się być

cokolwiek spokojniejszą. Nie wychodziła ona nigdy z domu, zdawało jéj się że każdy wyczytuje z jéj twarzy niezatarte piętno hańby. Niestety! potém miała okropniejsze jeszcze przyczyny, dla których się ukrywać musiała.

Leokadja uczuła że jest matką; ledwo na niéj rodzice wymogli aby sobie życia nie odebrała. Przez kilka dni nie chciała używać żadnego pokarmu; nakoniec przez miłość dla rodziców i uszanowanie dla swego stanu, jako matka, postanowiła znieść wszystko cierpliwie. Gdy czas rozwiązania nadszedł, don Ludwik i żona najęli domek na wsi gdzie się udali byli bez sług; nie chcieli nawet akuszerki zawołać; dona Marja jéj miejsce zastąpiła. Leokadja wydała na świat pięknego chłopca. Don Ludwik trzymał go do chrztu i dał mu swoje imie.

Niedługo potém matka wyzdrowiała, a jej czułość dla syna coraz żywszą się stawała, widok tego dziecka był tak potrzebny jéj istnieniu, że postanowiono trzymać małego Ludwika, udając że jest synowcem starca.

Po niejakim czasie wrócili do Toledy, gdzie nikt nie wiedział przyczyny ich nieobecności. Czyn Rudolfa nie był tak powszechnie znanym

odjechał on bowiem do Neapolu, a Leokadja poważana, lubiona odwszystkich, używała szczęścia w stanie macierzyńskim.

Tymczasem mały Ludwik podrosł i coraz stawał się przyjemniejszym i piękniéjszym. Rozum i powaby przewyższały wiek jego, miał on bowiem dopiero lat 6.

Jednego razu miało być wielkie polowanie na byki, dziecko to usiadło przy progu domu swej matki dla przypatrywania się młodym jezdcom udającym się na te łowy. Znajdował się wtenczas sam jeden, chciał pójść na drugą stronę dla zobaczenia idącego tam wojska, w téj chwili jeden z jezdców puszczający się galopem obalił swym koniem młodego Ludwika. Biedne dziecię upadłszy na kamieniu wydało krzyk przeraźliwy, a krew płynęła z rany w głowę podkową mu zadanéj. Wiele nadbiegło osób, w tém jeden poważny rycerz z liczną czeredą służących widząc to przybiega do niego, bierze w swe objęcia, całuje go, sciera krew jego twarz oblewającą, posyła jednego z swoich ludzi aby szukał najbieglejszego chirurga miasta i przedziera się wśród tłumu niosąc dziecko.

Tymczasem don Ludwik, jego żona i córka, dowiedzieli się o całém tém zdarzeniu. Leokadja jak obłąkana biegała po ulicy szukając swego syna. Jéj ojciec towarzyszył jéj usiłując nadaremnie ją uspokoić.

Wszyscy ich żałowali, i pokazali im drogę w którą stary rycerz się udał: Pobiegli do jego domu, wpadli do pokoju pełni przerażenia, gdzie dziecko się już znajdowało w ręku chirurga. Leokadja przyciska go do serca, oblewa łzami, i chce widzieć ranę. Miłe dziecko które jeszcze płakało, zaczęło się uśmiechać widząc swoję matkę; przytula się do niéj zapewniając ją że mu się nic złego nie stało. Chirurg obejrzał ranę i nie znalazł ją niebezpieczną: Leokadja kazała sobie to sto razy powtarzać, tymczasem don Ludwik z żoną najczulsze staremu rycerzowi wynurzali dzięki, mówiąc: że to dziecię jest ich synowcem, i wyszukiwali powodów nadzwyczajnéj miłości jaką dla niego ich córka okazała.

Nakoniec Leokadja uścisnąwszy małego Ludwika a widząc że nie ma żadnego niebezpieczeństwa o jego życie, usiadła na wezgłowiu

łóżka rzucając swój wzrok na to mieszkanie. Lecz jakże była zdziwiona poznawszy te same meble, też same sprzęty które widziała wówczas przy blasku księżyca, spostrzegła ten sam stół z którego wzięła krucyfix, obicia też same, zgoła nic się nie zmieniło w tém mieszkaniu. Leokadja nie może wątpić że się znajduje w domu i w izbie do któréj zwodziciel ją był prowadził.

Leokadja została nieporuszoną, bladość okrywa jéj lice, poczém żywy następuje rumieniec i pada bez zmysłów. Spieszny ratunek ożywił ją: Chciano przynieść dziécię, lecz stary rycerz nie pozwolił aby go ruszano aż wyzdrowieje. Don Ludwik zajęty swą córką, przystał na żądanie rycerza i wrócił do swego domu z swą żoną i Leokadją.

Skoro byli sami, Leokadja opowiadała im wszystko co widziała, zapewniając ich że ten dom w którym byli, należy do jéj zwodziciela. Don Ludwik udał się w jedno miejsce dla powzięcia wiadomości o tym którego poznanie bardzo dla niego było ważném; dowiedział się tam że stary rycerz nazywa sie don Diego

de Lara; a wkrótce doszedł i tego że ma jedynego syna nazwiskiem Rudolf, który znajduje się w Naples już 6 lat, i którego na koniec pobyt we Włoszech uczynił rozsądniejszym, spokojnym, i wstrzemięźliwym. Dodano także, że ów młodzieniec jest najpiękniejszym.

Don Ludwik wróciwszy do domu opowiadał to wszystko swéj żonie i córce. Nie uległo żadnéj wątpliwości, że to ten Rudolf który schańbił był Leokadją; lecz czy można było się spodziewać, że poprawi swój błąd haniebny ofiarując swą rękę osobie wprawdzie szlachetnego rodu, lecz najuboższéj w całéj Toledzie? Don Ludwik nie spodziewał się tego i poskromił już swą zemstę. Leokadja prosiła aby jéj to pozostawił: i pozwolił udać się do don Diego. Ojciec nie chciał się do tego skłonić, lecz nakoniec przystał, a Leokadja była spokojniejszą.

Myślała ona ciągle któréj się chwycić strony.

Jéj dziécię ciągle zostawało u don Diega, który o niém najczulsze miał starania. Rana jego już była wyleczoną; a jego matka, don

Ludwik i jego żona codziennie go odwiedzali.

Jednego dnia gdy Leokadja była sama u don Diega, dobry starzec trzymał w swych objęciach małego Ludwika, ściskał go, całował, przemawiając do niego tak czułemi i żywemi wyrazami, że Leokadja swych łez wstrzymać nie mogła, i nadaremnie je ukryć chciała.

Don Diego spytał się jéj o ich przyczynę; Leokadja z spuszczonemi oczyma, wzdychając opowiedziała mu wszystko co zaszło w jego domu; pokazała mu krucyfix, który don Diego zaraz poznał; a rzuciwszy mu się do nóg rzekła: Twój syn schańbił mnie, a ja ściskam twoje kolana. Twój syn wystawił mnie na hańbę i na wieczne nieszczęście, a ja nie mogę przestać cię kochać jak najczulszego ojca.

Mały Ludwik widząc Leokadją płaczącą, pada na kolana prosząc starca aby nie zasmucał jego dobréj przyjaciółki, a raczéj matki.

Don Diego nie mógł wytrzymać téj wzruszającéj sceny: podnosi Leokadją i jéj syna, bierze ich w swe objęcia i przysięga, że Rudolf nigdy innéj żony mieć nie będzie jak Leokadję.

W tym samym dniu pisał do syna aby przyjechał do Toledy, zapewniając go, że ma dla niego stosowną małżonkę. Rudolf niezwłocznie stamtąd wyjechał, i przybył do swego ojca. Umówili się aby Leokadja, don Ludwik, i jego żona nie znajdowali się w domu Diega w chwili przybycia Rudolfa.

Po długim uścisku powitania z powodu tak długiéj nieobecności syna, zaczął don Diego mówić z swym synem o małżeństwie które dla niego przeznacza. Wystawił bogatwo jakie jego przyszła żona posiada, pokazując mu szpetny portret jaki w tym celu dał zrobić. Rudolf okazał największy ku niemu wstręt, przekładając ojcu że nie można kochać podobnéj żony. Lecz don Diego odpowiedział mu tonem surowym, że bogactwo jest najważniejszym punktem do którego żeniąc się dążyć trzeba. Wtedy Rudolf starał się przekonać ojca, że bogactwo nie jest prawdziwym celem małżeństwa, przytaczając mu nieszczęścia których ono stało się przyczyną, dodając iż nigdy więcéj nie żądał od Boga, tylko znaleść żonę rozsądną, piękną, na łonie któréj jedynie szczę-

ście mieć można. Don Diego starał się ukryć swoję radość, zbijając niby jego zdania, gdy tym czasem kazano poprosić Leokadji jéj matki i małego Ludwika na wieczerzę do Don Diego.

Leokadja nigdy jeszcze nie była tak piękną, zdawało się, że przez wolę niebios jéj piękność i wdzięki w całym zajaśniały blasku; zachwycała ona niezmiernie Rudolfa który się zapytał z uniesieniem: „Któż jest ta ujmująca osoba? Jego ojciec nie dał poznać że to słyszał a zbliżywszy się do obu tych dam spostrzegł twarz Leokadji śmiertelną okrytą bladością; jéj ręce drżały, a widok Rudolfa zmysłów ją pozbawił. Czuła Leokadja padła nakoniec bez zmysłów, a Rudolf spieszył ją ratować z zapałem, co niezmiernie cieszyło starca.

Nakoniec przyszła do siebie, usiedli do stołu i przez cały czas wzrok Rudolfa był na Leokadją zwrócony. Ona to widząc spuściła oczy, mówiła mało lecz wszystko z pewnym wdziękiem powiększającym coraz zachwycenie Rudolfa. Mały Ludwik siedział przy swym nieznajomym ojcu, który ciągle na niego spoglądał, przytulał go do swego łona, i zdawał się wyrażać

że ojciec podobnego dziecka powinien się uważać za najszczęśliwszego.

Wstano od stołu, Rudolf niewymownie zachwycony wdziękami Leokadji, wziął swego ojca na stronę i mówił tonem poważnym lecz stanowczym, że nic go nie może skłonić do ożenienia się z tą któréj odrażający portret był widział. Może, odpowiada ojciec, przekładasz tę młodą i szlachetną osobę, która tu się znajduje. Ah! Boże! zawołał Rudolf; będę najszczęśliwszym z ludzi, jeśli ona zechce przyjąć moję rękę!.. A ja najszczęśliwszy z ojców jesli mój syn przez ten związek poprawi błąd który popełnił.

Wtedy opowiedział wszystko Rudolfowi; a wyjmując z zanadrza złoty krucifix rzekł: Oto mój synu masz dowód tej haniebnéj zbrodni któréj się dopuściłeś i dopiero gdy otrzymasz przebaczenie od Leokadji także ode mnie je otrzymasz.

Rudolf to usłyszawszy zarumienił się, i rzucił się do nóg Leokadji. — Zasłużyłem na nienawiść i wzgardę, zawołał; lecz jeżeli najczystsza miłość i najszczersza pokuta są godne przebaczenia, to ty potrafisz mi przebaczyć.

Pomyśl, że jedno twoje słowo może mnie uczynić na zawsze najnędzniejszym, najnieszczę-

śliwszym z ludzi, lub najczulszym, i najszczęśliwszym małżonkiem.

Leokadja przez chwilę milczenia spogląda na niego oczami łez pełnemi; nakoniec obraca się do małego Ludwika, przytula go do serca, poczém podaje go jego ojcu, przerywanym mówiąc głosem: Oto moja odpowiedź, możeżli to dziecię tyle ci przynieść szczęścia, ile ty sprawiłeś cierpień i boleści jego matce!

Posłano natychmiast po księdza, notarjusza i dwóch świadków: szczęśliwy ten związek został zawarty tego samego jeszcze wieczora, a Rudolf stał się istotnie cnotliwym, przekonawszy się że prawdziwém szczęściem jest szczera miłość.

ZA PODSTĘP

PODSTĘP

— Wiecie już panowie, — dawały się słyszyć pytania po wszystkich spacerach. w teatrze, i w innych publicznych miejscach w B....n — czy wiecie już panowie że Flecheim z swojéj podroży powrócił? — Flecheim

piescidełko losu? powtarzano z wielu stron. — Nasz kochany, oryginalny Flecheim! — wołali niektórzy z pasibrzuchów którym zgłodniałe żołądki przypominały wyborne czasy rozmaitych przysmaczków; gdy tymczasem zawistni pomyślności Flecheima szeptali sobie do ucha, mamy więc znowu w mieście jednego głupca więcéj, i najbardziéj szalonego w tym wieku! — Najwięcéj zaś zajęcia okazywał młody człowiek ze starą głową, z twarzą pomarszczoną i na którym prócz włosów nic szlachetności nie odznaczało, ten zdawał się być zachwyconym powrotem naszego bohatera. Wykrzykiwał silnym głosem. Mój towarzysz jest znowu w tych miejscach, i poklaskując swemi chudemi rękami, któreby bez wątpienia żadnego dzwięku nie wydały, gdyby nie były uzbrojone glansowanemi rękawiczkami; których użytek szczególniéj w teatrze panu de Laffeuhagenn pomagał. Dowiedziawszy się nasz trefniś o powrocie pana Flecheim, nie mógł już dłużéj wytrzymać w gronie rozsądnych ludzi, opuścił więc natychmiast to obmawiające zgromadzenie, któ-

re mu tę znakomitą wiadomość udzieliło, pośpieszył do mieszkania swego przyjaciela, ażeby tam dawnego szkolnego kolegę, znakomitego podróżnego, do swoich wywatowanych piersi przycisnął.

II.

Historją którą opowiedzieć mamy, jest krótka, i jeszcze ją krócéj objać będziemy mogli jeżeli poprzednio obeznany czytelników z opisem charakterów głównych osób. Flecheim miał tę wielką zasługę, że był nadzwyczajuie bogaty, przytém jednak posiadał tę kosztowną słabość prze-

konywania każdego o tém, jedynie dla tego ażeby powszechnie o nim mówiono. Wszystkich oczy zwracać na siebie było to największe zadanie, które sobie utworzył, a dla którego rozwiązania gotów był wszystko poświęcić. Przez śmierć swoich rodziców stał się w pierwszéj młodości posiadaczem wielkiego majątku i uznał za niegodne trudów, obranie sobie jakiegoś znacznego zawodu; nabywanie rozmaitych wiadomości uskuteczniał w czytelni cukiernika, gdzie pocieszony mógł śmiało chołdować bezczynności, i kiedy go się zapytywano: Co pan robisz? zbywał odpowiedzią Bawię się literaturą. Jego ton dążący do naśladowania książąt i hrabiów był bezprzykładnym, a tém więcéj śmieszności wzbudzał, że jego herb tylko korona mieszczanina zdobiła. Jego szalona rozrzutność doszła do tego stopnia, że w swoich piecach kazał machoniowém drzewem palić. Pomimo jednakże nadzwyczajnego bogactwa, nie był z swojego bytu zadowolony, albowiem tworzył plany, które nie dały się wykonać; ponieważ niczego się nie nauczył, a wiadomości innych nawet za wiel-

ką cenę nie mogły mu usłużyć. Gdyby był wstanie w swojéj ojczyznie kupić sobie tytuły, byłby ich tyle nabył, że na jego grobowcu do zupełnego ich wyrażenia potrzebaby ogromny pomnik postawić. Jego chęć dążyła także do zyskania krzyża, ale jakimże sposobem go dostać, Kiedy nareszcie jego bogactwo nie było tak wielkie ażeby z témże rolę Rotszylda odgrywać. Flecheim w skutek spełzłych nadziei został hypokondrykiem, a ponieważ było mu nie przyjemnie, i że jego słabości które widocznie okazywał znano w tém mieście, a nawet szydono z niego mówiąc, że choruje na k r z y ż o w ą s ł a b o ś ć postanowił więc odbyć wielką podróż. Rozesłał swoim przyjaciołom albo raczéj stołownikom bilety, pour prendre congé i udał się do Ameryki.

II.

Tak piękne dusze jak Flecheim i Laffenhagen musiały się znaleść. Już w czasach młodości obadwa spotkali się w szkołach, a równa skłonność do próżniactwa prowadziła ich wspólnie na drodze głupstwa. Laffenhagen o którego powierzchowności nadmieniliśmy już wyżéj, miał wpraw-

dzie mniejszy majątek jak Flecheim, ale zato mógł dokładaćdo swojego nazwiska,malutkie słoweeczko za któreby Flecheim chętnie połowę majątku odstąpił. Młody baron musiał z powodu szczupłych dochodów gorliwie pomyśléć o przyszłości, mając szczególniejsze upodobanie do prawnictwa, obrał sobie ten zawód i miał rzeczywiście rozkosz korzystania z przyzwoitego stopnia w téj czynności. Flecheim który z zazdrością spoglądał na olbrzymie postępy swojego przyjaciela, nie mógłznieść obojętnie jego powodzenia, przeszkadzał Laffenhagowi w każdej jego pracy, zachęcał go do dzielenia jego bezczynności, obiecywał mu wsparcie gotowizną i utrzymaniem i tak dalece doprowadził, że wkrótce jego luby przyjaciel zostawił mu następującą wizytową kartę: — de Laffenhagen exkalkulator bez zatrudnienia. — Dopóki Flecheim był wierny swemu przyrzeczeniu, wszystko szło wybornie; ci dwaj przyjacieie nudzili się podług prawideł dobrego tonu i szczególniéj przychylność służących, ciągła bezczynność, sprawiały na Laffenhagen najdoskonalsze wrażenie, i dymisjonowany rachmistrz poddałby się chętnie temu rodzajowi życia, gdyby tylko stan rzeczy postaci nie zmienił. Flecheim cierpiał niekiedy na hipokondrję

która czasami gościom była już nieznośną, a szczególniéj jego nieukontentowanie wtedy było widoczne, kiedy Laffenhagen rachunek rękawicznika przedstawiał. Zapóźno ostatni zaczął żałować swojego pośpiechu, albowiem Flehеim, odkrył mu pewnego dnia zamiar udania się do Ameryki, nie ofiaro wawszy mu za to innego wynagrodzenia, nad wolność towarzyszenia w podróży, którego jednak Laffenhagen przyjąć nie chciał i wskutek czego wkrótce po odjeździe swojego przyjaciela, znalazł się w bardzo biednem położeniu.

IV

Po upływie czterech lat, w czasie których Flecheim w Ameryce się nudził, a Laffeuhagen w domu z niektóremi potrzebami walczył, pomiędzy któremi ta go najwięcéj dręczyła że nie mógł codziennie nowych glansowanych rękawiczek nosić, mieli znowu ujrzéć się dawni

przyjaciele. Jak silnie wiadomość o przybyciu Flecheima, na jego przyjacielu działała, jużeśmy wyżéj dali poznać. To wewnętrzne wzruszenie było u niego tak silne, że zapomniał co zaszło pomiędzy nim a Flecheimem i nawet pochlebiał sobie że tenże podwójnie będzie się starał,krzywdę wyrządzoną naprawić. Niestety pierwsze już odwiedziny w celu odświeżenia dawnych stosunków; zupełnie jego nadziejom nie odpowiedziały. Był w krótkich słowach przez służącego murzyna pożegnany, który mu dał poznać, że jeżeli jego pan zapragnie gości to znajdzie stosowne towarzystwo. Ten sposób obejścia tak obraził pozbawionego nadziei exkalkulatora, że w rozpaczy postanowił powrócić do czynności którą dla niewdzięcznego poświęcił i dla rozpoczęcia swojego zamiaru; przyłączył się naprzód do strony, która jego przyjaciela Flecheima za największego głupca w tej epoce uważała.

V.

Tysiące rozmaitych anegdotek o tym bogatym oryginale rozeszło się po mieście, a nikt bardziéj nie starał się ażeby im uwierzono, jak Laffenhagen, któremu pod tym względem jako przyjacielowi domu, najwięcéj ufano. Opowiadał między innemi z postacią ironiczną, jak

tylko mu na to jego gapiowata twarz dozwalała, że Flecheim od czasu swojego powrotu z Ameryki, kawy z cukrem nie pija, i jedynie z tego ludzkiego powodu, że przez te kolonjalne towary ułatwia się handel murzynami. Ten żart miał cokolwiek w sobie prawdy, jak się wkrótce o tém przekonamy, że Flecheim mógł mieć słuszny powód do opiekowania się tym rodzajem ludzi, z którym przez długi czas pod jedném niebem przemieszkiwał Wszyscy nieprzyjaciele Flecheima w tém mieście nagle zdziwieni zostali, skoro pewnego dnia od niego zaproszenie piśmienne otrzymali, od niego który dotychczas pustelnicze życie prowadził. Szczególniéj, zdarzenie to wpłynęło na pana de Laffenhagen, któremu z uniesienia, zmarszczki na czole poruszały się jak bałwany na rozchukaném morzu. Ośmielał się nawet przekonanie swoje kłamstwem plamić, przypuszczając że mógłby to zaproszenie nie przyjąć. Skoro jednak zajaśniał dzień temu obiadowi poświęcony, nikt bardziéj tak ze sobą wzgodzie nie był jak nasz ukochany baron, który teraz to miłe postanowienie powziął, znowu raz w życiu dzielnie

się najeść tak dalece żeby ten apetyt na bankrūta wykierował jego przyjaciela. Godzina wybiła i zgłodniały Laffenhagen z okrutnym zamiarem żartoctwa wszedł do mieszkania Flecheima. Książęco umeblowany przedpokój w ktróym mnóstwo papug i małp przebywało, służył gościom jako wejście do salonów, gdzie kakadu z wyrazami: Ou peut on etre mieux qu' au sein de sa famille, witała. Laffenhagen grzeczność tę nie bardzo uprzejmie przyjął i pogroził skrzydlatemu śpiewakowi, na co długi leśny djabeł który żartu nie pojmował, przybył papudze na pomoc i był tak niedelikatnym, że popsuł starannie utrefione włosy grożącego. Szczęśliwym trafem obecność Flecheima uratowała Exkalkulatora jeszcze dość wcześnie od szponów amerykańskiego ami de la tète.

VI

Flecheim przyjmował gości podług swego dawnego zwyczaju i każdemu pojedynczo cóś powiedział, co mogło bydź grubiaństwem lub grzecznością. Było uderzającém, że gospodarz który każdemu jego miejsce wskazał zostawił próżne krzesło z prawéj strony koło siebie. Two-

rzono sobie potajemnie przypuszczenia, jakiego gościa mogliby się jeszcze spodziewać, gdy Flecheim powstał, otworzył drzwi jednego gabinetu i wprowadził zasłoniętą damę którą umieścił na próżném miejscu. — Moi panowie zwrócił mowę do zdziwionych i szybko podnoszących się gości, — moi panowie, proszę was zając swoje krzesła. Nie chciałem się prędzéj z wami widzieć i przyjmować was w moim domu, dópóki zarząd jego nie obejmie gospodyni żona podług mojego wyboru. Udało mi się nareszcie, dopełnić najdroższych żvczeń moich. W dalekiéj sferze znalazłem tę kobietę, która blaskiem swojéj piękności i cnoty zaćmi wszystkie kobiety w tym kraju. Spojrzyjcie moi panowie i podziwiajcie! — Wśród tych słów odsłonił swoją sąsiadkę, murzynkę która nizki pokłon oddała całemu towarzystwu Powinszowania nie wychodziły gościom tak szybko jak weszły nie dawno do nich 500 sztuk ostryg, bardzo naturalnie, ponieważ wszyscy skłonniejsi byli do przyjmowania jak do rozdawania. Nakoniec Flecheim przebudził gości z tego osłupienia, całując w czoło swoją połowicę, przez co przekonano się, gdy to po-

całowanie żadnéj mu plamy na twarzy nie zrobiło, że jéj pochodzenie jest rzeczywistém. Przeciwnie jednak gościom tak się czarno przed oczami zrobiło, że daremnie szukali wyrażeń, ażeby tak szczęśliwe zdarzenie, jakiém była związek ich gospodarza w tkliwych uczuciach określić. Flecheim przeczuwał to wrażenie i dla tego skrócił swój obiad o kilka potraw, ażeby gościom zostawić tę przyjemność wzajemnego rozprawiania do woli o szaleństwie, jak nazywał swoje połączenie.

VII.

Na żadnym okoliczność tą tyle wrażenia nie zrobiła, jak na Laffenhagen, który nagle wszystkie swoje nadzieje uznał za zniszczone. Flecheim został małżonkiem i mógł wskutek tego z czasem być ojcem całéj kolonji młodych murzynów, wszystkie więc kosztowne obiady,

jako też i inne udzielane wsparcia w gotowiznie i rękawiczkach, musiałyby ustać i z resztą nie można było nawet myśleć o przyjaznym stosunku, który dawniéj ich łączył. Laffenhagen przedsiewziął, ten podstęp swojego przyjaciela ukarać i postanowił zacząć od udzielenia jemu szyderczych nowinek, które krążą po mieście w skutku jego małżeństwa. Opowiadał mu pewnego dnia, że ktoś utrzymywał iż on jako hazardowny gracz z miasta wygnanym zostanie, ponieważ jest wiadomém że ilekroć żonę swoję całuje, gra rouge et noir; iż chociaż wątpliwości nie ulega, że nie podobieństwem jest murzynów białemi zrobić, pomimo tego ofiarował znaczną summę za mydło, któreby mogło odmienić cerę jego żony; powszechnie głoszą że dla tego z murzynką się ożenił, ponieważ białe panny ogólnie za ten zaszczyt podziękowały; wielu badaczów zastanawiają się nad tém czyli jego żona w swoim rodzaju jest bladą lub rumianą pięknością i inne tym podobne złośliwe uwagi. Flecheim znosił te wszystkie grzeczności cierpliwie, wprowadzając nawet język swojego przyjaciela, przez kilka butelek szampana w silniejsze działanie, ale w duszy gniew go tak mocno dręczył

że wkrótce dostał żółciowéj febry i umarł nie przeżywszy nawet z swoją czarną towarzyszką jednego miesiąca. Nieszczęśliwy zaledwie oczy zamknął, kiedy Laffenhagen stał już przy jego łożu, i jednćm okiem spoglądał, śmiejąc się szyderczo na swoją ofiarę; drugiém zaś z zajęciem uważał na młodą wdowę, która jak się wkrótce dowiedział, została jedyną dziedziczką tego ogromnego majątku.

VIII.

Śmierć Flecheima zwróciła powszechną uwagę. Nagle młoda wdowa stała się głównym przedmiotem uwielbienia, i pomimo swojéj nadzwyczajnéj czarności była gwiazdą dla wszystkich nie żonatych. Jéj dom napełniony istotami nią się zajmującemi, a pan de Laffenhagen

który był najgłówniejszym przyjacielem zmarłego pocieszał strapioną radą i czynnością i nie bez wielkich trudów w takiém zamięszaniu, mógł utrzymać miejsce przyjaciela domu. Najpierwsze zatrudnienie do którego się wziął po uroczystym pogrzebaniu swojéj ofiary, było, swoje nieco zaniedbane wdzięki przez rozmaite sztuczne sposoby odświeżyć, ażeby przez ten środek stać się w krótce panem drugiéj ofiary. Czyli to przez brak znajomości doskonalszych mężczyzn czyli też rzeczywiście przez jakiś pociąg, Bóg to wie, dość, że uwodziciel otrzymał zwycięstwo i nie dawno uwolnioną murzynkę do powtórnéj niewoli skłonił. Początkowo Brylantina, tak ją zmarły mąż ochrzcił, opierała się z dziewiczą skromnością i prosiła ażeby jéj prędzej nie zaślubił dopóki czas żałoby nie przejdzie; chytry kochanek umiał ją uwolnić od podobnych skrupułów dając jéj poznać wyraźnie; że żałobę nosić będzie przez całe życie. W trzy miesiące po dniu pogrzebowym, obchodził uroczyście Laffenhagen zaślubiny ze swoją amerykańską pięknością i chociaż nie mógł się uskarżać na zwłokę ze strony swojéj żony, jednakże finanse

jego osobiste w najgorszym stanie będące zmuszały go do pośpiechu. Co dawniéj mówiono o Flecheimie, powtarzano teraz w nowym kształcie o Laffenhagu, który przez swoje śmieszne postępowanie dość do tego dostarczył materjału. Brylantina jaśniała w swoim stroju jak królowa, bardzo więc naturalnie że Laffenhagen w krótce otrzymał w mieście tytuł,, króla murzynów.,,

IX.

Kilka tygodni upłynęło w rozkosznéj zgodzie i Brylantyna czułość i przywiązanie męża uważała jako nagrodę za dopełnienie jego życzeń. Laffenhagen był jednak czém inném zajęty, pieścił on życzenia których rozwiązanie zatrudniało jego serce, marzył o większych dochodach;

jednem słowem spekulował podług dawnéj skłonności do prawnictwa na objęcie zarządu głównego nad całym majątkiem. Brylantina zaś, która zapewnie od dzieciństwa do obfitości posiadania złota przyzwyczajoną, była nie miała najmniejszéj ochoty odstąpić od własności swoich skarbów. To uprzedzenie z jéj strony ukazało się już w pierwszych kłótniach, które mnożąc się ciągle, zaszkodziły bardzo interessowi Laffenhagena. Djabeł który już dla samego koloru Brylantiny więcéj jéj sprzyjał, sprowadził do tego miasta jakiegoś księcia, który na swoim dworze miał jednego murzyna. Zaledwie spostrzegła na przechadzce Pani de Laffenhagen paradny ekwipaż księcia, kiedy z zajęciem dopytywała się o czarnego człowieka który w tureckim stroju książęcy powóz zdobił. Udało jéj się dowiedzieć że tenże nie tylko z tego samego miejsca pochodzi co i ona ale nawet z jednego pokolenia—w skutek czego zapragnęła mówić z tym nieszczęśliwym który tak poniżającą role w tych miejscach odgrywał. Brylantina oświadczyła swojemu mężowi, że do dobrego tonu należy, murzyna mieć w swojéj służbie i że powinno być jego staraniem ażeby takiego wynalazł. Nic innego nie przypuszcza-

jąc jak tylko to że jego żona podobnież jak on dworszczyznę lubi, pospieszył do księcia ażeby traktować z nim o współziomka Brylantiny. Jego książęca mość naznaczył ogromną cenę, ponieważ ten murzyn był jego własnością; ta okoliczność jednak nie zrobiła przeszkody, i życzenie jego żony spełnione zostało. Targ został ukończony, Laffenhagen zapłacił żądaną summę i w zamian otrzymał murzyna, który miał się stać jego prawdziwym djabłem.

X.

Wkrótce Laffenhagen poznał, że jego żonie byłoby przyjemniéj gdyby Pecco, tak się ten murzyn nazywał, siedział obok niéj a on żeby w tyle powozu stanął, miał jednak jeszcze tyle mocy że ukrywał wszelki pozór zazdrości. Jeżeli Brylantina spostrzegła że uważano jéj spojrzenia rzucane na czarnego sługę umiała ich

znaczenie przypisać litości i boleści, że widzi swojego współziomka w tak smutném położeniu.

Laffenhagen nie ufał wpradzie temu usprawiedliwieniu, ale zbywało mu na dowodach a gdyby nawet miał one, nie posiadał tyle odwagi ażeby ich użyć. Małżeństwo swoje uważał jako finansową czynność, było mu więc zarówno w czyich rękach znajdował się jego majątek, skoro tylko regularnie procenta odbierał. Niestety, jak często w swojém życiu tak i teraz fałszywie spekulował. Pewnego rana Brylantina i Pecco zniknęli oboje ze wszystkiemi kosztownościami i gotowizną i Lafenhagen przebudził się z przyjemnego lecz krótko trwałego snu. W pokoju jego małżonki leżał list z następującą treścią: „Przebacz mi że przekładam moją pierwszą miłość nad pozostanie w stosunkach z panem. Jeszcze w pierwszéj młodości kochałam Pecco, którego moi nieprzyjaciele, rozłączyli ze mną i któremu teraz w skutku szczęśliwych okoliczności moją miłość i wolność wracam. Daruj panie że zabieram wszystko co ma pewną wartość; zostawiam panu za to dosyć zwierciadeł w których pan swoją najdroższą postać będziesz mógł widzieć; kiedy pan te wyrazy czytać będziesz, już będziemy blisko

morza, na którém wspomnienie o panu będzie rozrywać nudy w podróży. Żegnam pana,, Brylantina. Oszukany małżonek skrzywił się okrótnie, wściekał się na siebie, zebrał wszystkie szczątki pozostałego bogactwa sprzedał je i kupił sobie za nie małe lusterko, przed którém wykrzyknął, jak się pierwszy raz w nim ujrzał: Oj jakimże osłem byłem; czemuż nie pomyślałem o tem że każdy podstep dozna odwetu.

LORD SANDPATER.

I.

Zdarzenie godne czasów w których śmiech by obudziło opowiedziane w pewném towarzystwie drzez znakomitego oryginała, spotkało w Londynie przed niewielu miesiącami trzy osoby, których imiona zamilczemy. Opowiedanie to miało

miejsce wśród wypadków zwodzenia z dnia 1go Kwietnia które sobie udzielano.

Sir Francis Wenslej i Signora Carlotta wspólnie jedli śniadanie w buduarze pięknego pałacu w St. James street. Dom ten był mieszkaniem Signory Carlotty pierwszéj tancerki w królewskim teatrze, wydatki jednak komórnego szły na rachunek Sir Franciska Wenslej, bogatego i wésołego barona, jednego z najznakomitszych magnatów angielskich. Sir Francis ujrzał znowu Carlottę po czternastodniowéj nieobecności swojéj, i téj okoliczności przypisać należy wesołość która ożywiała ich rozmowę. Mówiąc aż do zbliżenia się szampana o rozmaitych drobnostkach, przyszli nareszcie na ten ważny punkt, rozprawiań o osobistych stosunkach i w tłoku wzajemnych powierzań i zapomnienia o wszelkich nieprzyjemnościach i o zgryzotach dręczących ich byt, weszła ostrożnie pokojówka.

— Cóż tam takiego? zapytała Carlotta tonem władczyni.

— Nic, Signora, odpowiedziała bojaźliwie pokojówka, chciałam się tylko zapytać pani czyli przyjmiemy dziś rano lorda Sandpater.

To imie, które tylko lekko zdziwiło barona

Francis, na tancerce szczególniejsze wrażenie zdziałało.

— Lord Sandpater? zawołała i opuściła obie ręce, jest to jego zwyczajna godzina, w rzeczy samej, nie zaniedba swoich odwiedzin.... Margareto, jestem chora, umarłam, wszystko co tylko chcesz... zrozumiałaś?

— Zupełnie Signora, będę się starała wypełnić jéj życzenia.

I pokojówka zniknęła zamknąwszy znowu troskliwie drzwi za sobą.

— No i cóż! rzekła Carlotta do Sir Francisca który z uśmiechem na nią spoglądał, nic do nié nie mówiąc. No i cóż, żywo powtórzyła. Nie pytasz się mnie, kto jest ten lord Sandpater?

— Cóż mnie mogą obchodzić wszyscy lordowie z wielkiéj Brytanji, odpowiedział z najzimniejszą krwią: wiém że mnie nad wszystkich przekładasz, a przytém z natury już nie jestem zazdrosny.

W takim razie możesz być o mnie zupełnie spokojny, rzekła tancerka rozdrażnioną pewnością barona.

— Ba! odpowiedział moduiś zdziwiony.

Ta wyborna spokojność opuści pana zapewne

skoro się dowiesz że lord Sandpater nie jest mi zupełnie obojętnym.

Wyrzekła te słowa z takiém lekceważeniem i złośliwością, że Sir Francis zaczął być ciekawszym.

— Żartuj sobie pani, zawołał uśmiechając się. Pani nie znałaś jeszcze tego człowieka przed moim odjazdem.

— Nawet nie słyszałam jego imienia, to prawda, odparła tancerka wzdychając: — jednakże w czasie pańskiéj nieobecności miałam ten zaszczyt poznać jego czcigodną osobą..,

— Jego osobę? — powtórzył Wensléj i żywo podniósł się z miejsca.

— Tak jest, rzekła Carlotta z westchnieniem.

— Ah tak! chcesz mnie tylko przestraszyć? zawołał młody człowiek zmieszany i spoglądał na artystkę od stóp do głów...

Carlotta zaczęła się śmiać i rzuciła się Wenlejowi na szyję.

— Moja przyjaciołko! kto jest ten lord Sandpater, zapytał się tenże głosem surowym.

— Nareszcie! rzekła z zalotnością, siadając koło niego, tak jest dobrze, właśnie oczekiwałam od pana tego zapytania, a ponieważ jesteś zazdrosny jak uprzejmy kochanek, uczynię więc zadość téj zazdrości i dosłownie ci opowiem wszelkie szczegóły téj znajomości.

Zrobiła poważną minę i rozszerzając swoje ramiona rzekła:

— Wystaw sobie pan osobę, który trzy razy jest tak grubą jak my oboje.

— To znów co innego, przerwał Wensléj, który lżéj odetchnął i usiadł na swojém miejscu; mów daléj, dodał, kosztując z małego kieliszka stare Cypryjskie wino.

— Sześć razy tak gruby, jak my oboje, i z wysokością, która odpowiada jego objętości."

— Proporcjonalny Anglik, wyrzekł Sir Francis nie bardzo przyjaźnie.

— Przy téj szczególnéj budowie, mówiła daléj Carlotta, wyobraź pan sobie, umysł tajemniczy i niepojęty, chociaż rzadko i w bardzo szczupłej ilości objawiający się; do tego człowieka mając[...] już przeszło pięćdziesiąt lat ze stu tys[...]ni funtów szterlingów

dochodu; oto jest pierwszy obraz twojego niebezpiecznego rywala, który już od czternastu dni pragnie pana wygnać z mojego serca. Zaczął od tego że nazajutrz po pańskim odjeździe zajął miejsce pana w mojéj loży. Jak zwykle słuchałam rad co do ubioru moich przyjacioł i właśnie najpilniéj zważałam na sekretarza z francuzkiéj Ambasady, mówiącego o nowych paryzkich modach, gdy w tém ujrzałam kołyszącego się tego olbrzyma którego obszerność już panu opisałam.

— Przyznaję, że w pierwszéj chwili przestraszył mnie jego widok, i drżałam, oddając mu pokłon, skoro jednak lord Spencer za którego pośrednictwem przedstawił mi się, zwrócił moją uwagę na jego nudny byt, odważyłam się odwrócić do niego i obdarzyć go zwyczajnym obowiązującym uśmiechem, poczém siadł na pańskiém miejscu, nieporuszony i mając oczy we mnie wlepione. Wciągu pół godziny nie opuszczał tego miejsca i znajdowałam go zawsze tam skorom do loży wchodziła. Następnych dni było pov[illegible]zenie tego samego Sandpater, był ciągle na [illegible] miejscu.

— Zawsze milczący i spoglądający na ciebie...

— W ciągu całéj téj bytności może mi najwięcéj dwa razy powiedział że jestem piękna.

— Nakoniec zaczął otwarciéj z tobą mówić.

— Ósmego dnia dopiero.

— Ofiarował ci swój majątek i swoje imie i żądał twojéj ręki.

— Tak jest zupełnie. Kto panu o tém powiedział?

— Odgadłem natychmiast; nie znając nawet imienia lorda Sandpater, znałem go tylko z jego opisu. On jest jednym z cierpiących na splen, śpiochów wyższéj izby, którzy powszechnie już po wygłosowaniu budzą się; zresztą jak zapewniano mnie, głęboko myślący człowiek i wielki zwolennik talentów i kunsztów. Jego jedyną przyjemnością jest, w bliskości otoczonego sławą istnienia, pędzić swoje milczące życie, mieć do tegoż przystęp ażeby je widzieć i być podobnież widzianym. Jego tajemnicze postępowanie ma tę główną zasadę,

że chce zaślubić jaką artystkę, ażeby go ze splenu uleczyła, a ty jesteś już przynajmniej dziesiątą o którą się starał. Wszystko to rzeczywiście jest bardzo niewinne, jak sama mogłaś ocenić, i możemy śmiało bez obawy przykrych skutków z szanownym lordem żartować.

— Z tym człowiekiem? dobry Boże! zawołała tancerka załamując ręce. — To właśnie przypomina że muszę jeszcze z panem mówić i żądać jego opieki.

— Mojéj opieki?... Czyliż ubliżył tobie w braku winnego szacunku?

— Przeciwnie; posiada jednak inny środek ażeby mnie do rozpaczy przyprowadzić i nieszczęśliwą uczynić... przy słabym ogniu mnie upiec i kłuciem igieł mnie zabijać...

— Jakimże sposobem? sprawiedliwe nieba.

— Oświadczając mi wyraźnie, że codziennie udręczać mnie będzie swojém nieznośném towarzystwem.

— Tak, że cię nakoniec ciężarem tych nudów zabije?

— Że mnie zabije... zgadłeś pan, albowiem jest zabijającym w najwyższym stopniu... I nie wątpiłbyś pan o tém gdybyś pan w ciągu dwu-

dziestu czterech godzin miał go dwie lub trzy godziny obok siebie... Pan wiesz zapewne, że moje nerwy nie są drażliwsze od innych; cokolwiek bądź drażliwość ta pomnożyła się od czasu jak mnie lord Sandpater ubóstwia; zdaje się że w tym człowieku istnieje jakaś upajająca, magnetyczna, przenikająca siła; zapewnić pana mogę że kiedy go rano i wieczorem w mojém mieszkaniu przed i po za sobą widzę, nieporuszonego jakby jaki posąg i milczącego jak pomalowane płótno, wielkie jego ręce oparte na djamentowéj główce laski i jego zaspane oczy wiecznie na mnie zwrócone; wprowadza mnie to wszystko w osłupienie i ogłuszenie które prędzéj czy później kończą się zwykle snem lub kurczem.

Nakoniec ze słabą nadzieją jaką sam wyraża uleczenia się przeze mnie ze swojego splenu przeniesie lord Sandpater niezawodnie we mnie tę słabość.

— Do djabła!. lecz to jest bardzo ważna okoliczność; zawołał Wensléj przekonany opowiadaniem Carlotty, trzeba ażebyś już więcéj nie widziała lorda Sandpater i od dzisiejszego dnia zabroniła mu wstępu do siebie.

— Właśnie to poleciłam mojéj pokojówce; jednakże nie wiem czyli to polecenie jest dostateczném, ponieważ zamiar ten nie jest tak łatwy do wykonania jak się panu zdaje.

Po opisie który mi uczyniłaś o jego budowie, lord Sandpater nie jest tak cieukim ażeby się mógł wcisnąć przez dziurkę od klucza.

— Ma on jednak inne sposoby które już kilkakrotnie naprózno starałam się pokonać. Wkrada się niekiedy przez drzwi które są dla innego otwarte, niekiedy dostaje się aż do mnie, jak kula armatnia,przełamując wszelkie trudności. W innym razie zmienia się w złoty deszcz i nie mogę żadnego oporu wynaleść przeciw temu nowe u Jowiszowi. Ha, oto masz pan dowód, mówiła żywo daléj, skoro głos dzwonka zwiastował nową wizytę, to on jest niezawodnie. Już przeszedł koło moich ludzi pomimo mojego zakazu i kto wie czyli moje kobiety lepiej mnie bronić będą umiały?

— Na Boga! zawołał Sir Francis powstając, to już za wiele i jeżeli mi pozwolisz samemu się udać.

— Cóż pan znowu zamyślasz? przerwała mu artystka. — Chcieć tak postępować z angielskim

lordem! Mamy inny przyzwoitszy środek, jeżeliby lord Sandpater miał się aż do tego miejsca dostać. Zostań pan tutaj, ja zaś pójdę odpobliskiego salonu. Z panem nie długo pozostanie, a jak tylko opuści pokój ja powrócę...

Dla każdego i nnego, byłby ten wojenny pod stęp korzystnym, ale Carlotta robiła rachunek bez gospodarza, i dażyła preciw burzy zamiast jéj uuiknąć. Pierwszy w istocie przedmiot który jéj oczy uderzył w salonie w którym chciała się uchronić przed lordem Sandpater, był sam lord w wygodném krześle spoczywający. Kiedy mu oświadczono że Carlotta była nieobecną, odpowiedział że będzie oczekiwał jéj powrotu i pokojówka wprowadziła go do tego salonu nie spodziewając się, że jéj pani w własnéj osobie tam go poszukiwać będzie. Krzyk zadziwienia który wydobyła na ten widok, doniósł Sir Franciscowi o jéj niezręczności; łatwo pojąc można że uniesiony gniewem przeklinał wszystkich lordów angielskich, po bezużyteczném półgodzinném czekaniu końca tego tajemniczego zejścia które się jego kosztem przedłużało, i nakoniec tę zagadkę osądził za zbyt ważną, będąc przytem ciekawym poznać powierzchowność swo-

jege rywala, postanowił wejść i okazał się nagle w salonie bez najmniejszego zmięszania. Godny oryginał szkica jaki tancerka skreśliła, siedział lord Sandpater nie ruszając się bynajmniej zmiejsca, z powodu przybycia trzeciéj osoby i dopiero po całéj upłynionéj godzinie jednosylabowé rozmowy, zostawił Wensleja w tém przekonaniu że niestety trwoga tancerki była zbyt usprawiedliwioną.

— Uh! zawołał młody człowiek rozpościerając się w krześle skoro już olbrzymia postać mu ustępowała. Bądź spokojną Carlotto, dodał przy tém uroczyście: Ty musisz się uwolnić od té skamieniałéj istoty, albo ja się sam w kamień za mienie.

II.

Sir Francis, nie wiedział co zamierza i nie znał uporu swojego przeciwnika. Oparty na uczciwości swoich zamysłów, nie cofnął się lord ani na włos od zwyczajnego postępowania, i wszystko co poświęcano dls usunięcia go rozbijało się jak o skałę. Naprożno zachodził

mu drogę Wenslej w mieście i w teatrze, napróżno drażnił go za kulisami, i w innych miejscach, napróżno oburzał go przeciw sobie, wzywając go do odstąpienia od zamiarów małżeńskich i widocznie go na pojedynek wyzywał..nic nie mogło niezwyciężonego Anglika od powziętego zamysłu zaślubienia Corlotty odwieść, albo też kwadransy dziennych nudów jéj oszczędzić.

Pewnego wieczora, w Lutym, w gronie swoich przyjaciół, przez ognisty amerykański poncz, starał się Sir Francis swój dowcip ożywić i wpadł wiedziony mocą wlanego napoju, na szczególniejszą myśl, którą wkrótce poznamy i któréj nie zaniedbał wykonać następnego dnia. Ponieważ posiadał honorową godność doktora medycyny, był więc z tego tytułu w stosunkach z najznakomitszemi doktorami Londynu. Listownie powołał czterech najsławniejszych pomiędzy temi nadwornego doktora królowéj, prosząc ich o zebranie się dla roztrząśnienia ważnego wypadku. Zamówieni doktorzy stawili się bezwłocznie i Wenslej przyjął ich z powagą odpowiadającą ich powierzchowności. Stół został postawiony w środku salonu i na

nim wszystkie rzeczy do pisania potrzebne i do uzupełnienia reszty potrzeba jeszcze było chorego którego obecności doktorzy w samym początku zażądali.

— Mój chory nie znajduje się tutaj, moi panowie, pospieszył z odpowiedzią Sir Francis Ja sądziłem, że byłoby niepotrzebnie jego widzieć ponieważ pytanie które mam paaom przedstawić, jest bardzo ogółowém; są to trzy punkta tego pytania na które upraszam panów odpowiedzieć. Po pierwsze, czyli Splen jest rzeczywiście słabością? Po drugie, czyli od splenu można umrzéć? Potrzecie czyli splen jest zaraźliwym?

Lekarze zasiedli koło stołu dla naradzenia się, wczasie kiedy Wensléj wszelkie szczegóły téj narady na papier przenosił. Po rozmaitych rozprawach które dwie godziny trwały, o powiedziano ogólnie na wszystkie pytania:

— Tak! stwierdzając tę odpowiedź rozmaitemi dowodami; szczególniéj pytanie co do zarazy, które zdawało się najbardziéj na sercu barona ciężyć, było tak dokładnie dowiedzio-

ne; że żadnéj zmianie uledz nie mogło. Po spisaniu wszystkiego i odczytaniu podług zasad, podpisali to zebrani doktorowie, a ich kolega odesłał ich wesoło do domu, gdzie każdy z nich na swojém biórku znalazł pięćdziesiąt funtów szterlingów.

We dwie godziny po téj scenie, z któréj Molier w swoim czasie byłby pewnie korzystał w momencie, kiedy lord Sandpater ciągnął za dzwonek do domu Carlotty, zastąpił; mu drogę sądowy sługa i zabronił mu wstępu. Niezwyciężony lord uważał to za omyłkę i podług zwyczaju chciał daléj postępować, skoro mu ów człowiek swój rózkaz powtórzył i okazał mu długie piśmienne polecenie. Milcząca osoba wzięła ten papier, i nie mówiąc ani słowa przebiegła go wolno i z badającém spojrzeniem. Było to właśnie świadectwo czterech doktorów wzmocnione upoważnieniem sądowém. Akt ten w nowym rodzaju opiewał. Powszechnie jest wiadomém że lord Sandpater na splen choruje i obciąża codziennemi odwiedzinami Signorę Carlottę; po wspólném naradzeniu lekarze osądzili zdrowiu i życiu téj czcigo-

dnéj osoby grozi niebezpieczeństwem, ponieważ przez ciągłe nudy udziela jéj tę słabość, w skutek czego zakazuje się wzmiankowanemu lordowi Sandpater odwiedzania Signory Carlotty, i to w imieniu domowego doktora tejże tancerki, którego ocalenie życia tej artystki szczególnie zajmuje.

Skoro lord Sandpater tę szczególną tajemnice od góry do dołu przebiegł, pomyślał chwilę nie otworzywszy ust wcale, powziął stałe postanowienie, napisał ołówkiem kilka słów na kartce prosił służącego aby ją zaniósł do sir Francisca i spokojnie udał się do domu. Poselstwo orda przypominało po prostu Wenslejowi wyzwanie które mu teuże ośm dni wcześniéj ofiarował i wskazywało miejsce gdzie ma przybyć z dwoma sekundantami i bronią. Sir Francis udał się natychmiast na oznaczone miejsce w towarzystwie dwóch przyjaciół których na ulicy spotkał, ale zaledwie stanął z pistoletem w ręku na przeciwko swojego nieprzyjaciela, zamiast uczynienia pierwszego strzału jak mu los pozwolił, wystrzelił do pierwszego poblizkiego krzaku i oświadczył że odstępuje od walki.

— Co to ma znaczyć? zapytał się lord Sandpater po raz pierwszy usta otwierając.

— To znaczy mylordzie, odpowiedział Wenslej, że nie chcę ażeby mi sumienie ten morderczy krok wyrzucało.

Wrzeczy saméj, moi panowie, — mówił do sekundantów, bądźcie łaskawi, roztrząsnąć i natenczas osądzicie czyli to może być nazwane pojedynkiem: Mylord swoją powierzchownością poddaje mojemu strzałowi płaszczyznę z trzech stop szerokości i sześć stóp długości, kiedy moja zaledwie dwie trzecie tego wynosi, pomijając nawet dokładny rzut mojego oka. Chcę zatém mojemu rywalowi uczynić projekt odłożenia tego pojedynku, dopóki moje fizyczne usposobienie, wzajemne niebezpieczeństwo równém nie uczyni; obowięzuję się, dołożyć wszelkich usiłowań, ażeby zbliżenie się téj chwili jak najprędzéj przyspieszyć, do czego także mylord wzajemnie przyczyniać się będzie starając się zmniejszyć swoją objętość. Zresztą zostawiam mu wolność rozrządzenia jego strzałem, jeżeliby mu moje przedstawianie nie podobało się, i może strzelać do mnie, jeżeli

jestem dla jego wysokości dostatecznym przedmiotem.

Po tych słowach odrzucił Sir Francis swój pistolet, i odkrył piersi oczekując strzału swojego przeciwnika; ale jego sekundanci zaczęl się serdecznie śmiać i jego nieprzyjaciele podobnież wstrzymać się nie mogli. Lord Sandpater był jedynym, który był poważnym; tak że pojedynek był niepodobny.

Ta okoliczność uczyniła spleen lorda Sandpater zupełnie dojrzałym i następnego tygodnia odjechał do Neapolu gdzle cały miesiąc Marzec przeżył.

Jego jednak małżeńskie zamiary zagroziły dyrektorowi opery wielkiej, utratą najlepszej tancerki teatru San Carlo.

BAL W TUNIS.

I.

Ostatnie promienie słońca ginęły już w morzu, a niebo nad miastom Tunis zdobiło się gwiazdami jak Tunis swojemi. Tarasy odkrywały przy blasku pochodni swoje pasmo i zaludniały się kobietami które podług zwyczaju odbywały wieczorne przechadzki. Po zachodzie

słońca rozwija się cała poezja miasta Tunis. Gwiaździste sklepienia, ogólne oświecenie domów i widok niewiast które krążą w tej przestrzeni światła nieba i ziemi, zamieniają te istoty na władczynie tego państwa.

Biedne władczynie, których panowanie kończy się w obrębie tych tarassów.

Wszystkie oparły się o balustradę zwracając się w tęż samą stronę. Pomimo zasłony która ich twarze okrywała, można jednak było przez powłokę muślinową dostrzedz, że ich wrzące spojrzenia z nieopisanym wyrazem ciekawości chęci i zazdrości bieg swój skierowały na budynek wielki i piękny, który odznaczał się od innych domów europejskim kształtem.

Harmonijne tony wydobywały się z tego tajemniczego pałacu. Wprawne ucho mogło w nich, kiedy na skrzydłach wiatru do tych miejsce się zbliżały, tańce Europejskie rozpoznać. Dl ucha tych Afrykańskich piękności, echo to było dźwiękiem z nieznanego świata.

Wyobraźnia ich tworzyła sobie o tych uroczystościach obcych narodów dziwaczny obraz, a ich serce przepełnione było szczególniejszemi żądaniami i wzruszeniem.

Pomiędzy niemi znajdowała się jedna, któréj niespokojność najbardziéj była uderzającą. Po westchnieniach które z jéj piersi wychodziły, łatwo można było odgadnąć, że wszystkie gwałtowne uczucia ulegały naprzemian okrutnéj walce. Prawie całkiem przechyliła się przez poręcz. Jéj oczy bezprzestannie spoczywały na tém miejssu skąd te melodyjne brzmienia wychodziły. Zdawało się jakby wzrokiem chciała przeniknąć te kamienne mury i najskrytsze kąty tego gmachu dosięgnąć. Drzała, jakby słyszała ducha który poecie poddaje jeńjalne sława, i można było sądzić że się przebudziła dla ujrzenia nowego świata. W téj chwili wzniosła się nad miękkość i niewiadomość horemu, pojmując szlachetne przymioty poezji i sztuk pięknych. Stopniowo jednak zeszła z téj wysokości która ją do niebios wznosiła i opadła na nowo na łono rzeczywistości.

Gdyby w tym momencie można było uchylić z twarzy zasłonę Afrykanki, przestraszył by jéj gorzki i grożący wyraz. Nagle wydobyła schowany bukiet symbolicznych kwia-

ów, zniszczyła go z gniewem a listki jego nogami deptała. Stara murzynka stała przy wejściu na taras. Afrykanka zwróciła się ku niéj i kiwnęła na nią.

Na ten milczący rozkaz skłoniła się stara, położyła rękę na sercu na znak powitania i posłuszeństwa i postępowała za swoją panią do wnętrza gmachu gdzie dopiero zasłonę zrzuciła.

Afrykanka miała regularne rysy, co się rzadko u nich zdarza, jéj wysokie i szerokie czoło zwiastowało rozum, a w jéj spojrzeniu panowała myśl. W jéj ustach wyczytać można było pewien rodzaj szlachetnéj dumy a jéj ciemna farba posiadała ten ognisty blask który wskazuje życie, siłę, piękność i młodość.

— Zbliż się Monska, zawołała na starą która w uszanowaniu stanęła zdaleka od dywana na którym jéj pani siedziała.

Skoro Monska zbliżyła się do miejsca które jéj wskazała, rzekła do niéj:

— Co ci Oskar powiedział, kiedym cię do niego posłała?

— Długo czekałam, albowiem znajdował się

w gabinecie konsula Szwedzkiego. Skoro wyszedł z niego, oddał mi ten ten bukiet który dopiero co zniszczyłaś.

— Ach te wyrazy, które ten bukiet tłomaczy, nie pochodzą z ust proroka. Ale mów, czyli Oskar chciał się udać na uroczystość daną przez Europejczyków.

— Tak, odpowiedziała stara, cofając się przelękniona niechęcią która w twarzy jéj pani istniała.

Afrykanka krzyknęła wściekłym głosem;

— Ach, i ja także udam się na tę uroczystość! Chcę tego, chcę tego Monska.

— O Allach! zawołała stara murzynka zdziwiona i przelękniona. — Ty żartujesz z twojéj niewolnicy. Cóżby na to Sidii Selim powiedział?

— Sidi Selim! odparła Afrykanka z uśmiechem pogardy, on się nie odważy.

— On się na wszystko odważy! W jego oczach córka Sabfaba (pierwszego ministra) zniknie, a widzieć w tobie będzie tylko żonę która go zdradziła, a natenczas...

— Dość odpowiedziała z godnością, — słu-

chaj mnie w milczeniu. Ja pójdę na ten bal. Zara mój wierny niewolnik, będzie mi tam towarzyszył. Skoro mnie zasłona pokrywać będzie nawet mnie oczy samego Oscara nie poznają, wmięszam się pomiędzy grono służących, którzy na swoich panów oczekiwać będą.

Wyobraźnia staréj murzynki tworzyła sobie jedynie smutny i niebezpieczny obraz, ale jéj prośby i łzy nie zdziałały na jéj pani najmniejszego skutku. Otrzymała rozkaz oddalenia się i przyprowadzenia Zary.

W kilka minut po tém wzniosła czarna i silna dłoń adamaszkową zasłonę od drzwi i niewolnik Zara przystąpił do Afrykanki, słuchał jéj w milczeniu i na tak stanowczy zamiar żadnego zarzutu nie wyraził. Znał przytém tę Afrykankę, że jéj powzięte i niczem niezwyciężone zamysły na zbyt silnym charakterze się opierały. Nieraz już widział jak życie narażała na okropne skutki swojéj śmiałości, zapominała o przeszłości i przyszłości, jak rycerze, którzy się cisną w miejsca najzaciętszéj walki, niedbając o żelazo które ich głowom grozi. Z pogardą szydziła z wschodnich zasad i to najsurowszemi, szczególniej

niezachwianego posłuszeństwa które jest przepisane zamieszkującéj harem względem jéj pana władzcy.

Wiedziała o tém, że śmierć lub niewola ją oczekiwały, skoro jéj postępek odkrytymby został. A jednak nie wachała się. I jak wiele dam europejskich działa, tak też i ona w skutku tajemniczego zamiaru całą swoję przyszłość dla jednego balu stawiła na kartę.

Nie była to tylko prosta ciekawość, która ją tam wabiła. Było to życie albo jego strata, spełnienie lub upadek jéj nadziei, które pragnęła na tym balu poszukiwać. Jakieś przeczucie bez przestannie nęciło ją do tego kroku. Pełne niewiary słowa obijały się o jéj uszy, wzburzone namiętności w walce ze sobą rozmaicie na nią działały i utworzyły te myśl, stałą że u tych obcych odkryje zdradę Oskara.

II.

Ona, Córka Sidi Sehelkersa; pierwszego ministra Beja, naprożno była towarzyszką Selima; ten zaszczyt był dla niej niedostatecznym; naprożno tenże wypełniał wszelkie jej życzenia i otaczał ją względami, na które jej u-

rodzenia raczej sama piękność zasługiwały. Dilara, ta piękna Afrykanka, była obojętną na tę przychylność i kiedy Sidi Selim zgrymasu czasem innę piękność do swojego haremu powołał, oddaliła się bez zazdrości i smutku.

Ale nadeszła chwila, w której lód ten pod ognistém spojrzeniem stopnieć musiał, chwila która opanowała serce Dilary.

Oskar, sekretarz pewnego konsula, był często do Sabtaby wzywany. Wizyta którą Dilara oddała swojéj matce w haremie ministra, dała jéj sposobność, widzenia tego młodego Europejczyka. Znajdowała się za żaluzją, która kobietom pozwala bez opuszczenia ich mieszkań, przypatrywać się na odznaczonych franków którzy wchodzą do sali posłuchania. Stała się nagle niespokojną. Nigdy jéj słuch nienasycał się tak rozkoszną melodją jaką roznosił głos tego cudzoziemca. Z zachwyceniem spoglądała na wspaniały wzrost i przemawiające rysy cudzoziemca. Nie męczyło ją, podziwiać jego piękne czoło na którem krzyżowały się żyły, i jego bląd włosy, które z natury w kędziory się zwijały.

W serce Dilary wstąpiła miłość.

Powtarzała odwiedziny do Ojca i spacer do Baza ale cudzoziemiec nie ukazał się nigdzie i Dilara wpadła w pewien rodzaj słabości która przestraszała jéj męża i ojca. W tym czasie znajdował się w Tunis młody doktór, któremu pogłoski szczególniejsze uleczenia przyznawały, wspominano zaś nadzwyczaj o uzdrowieniu księżniczki Kabura córki Beja, skoro od czasu odjazdu Pussussa podobnież niknęła trawiona tęschnotą i westchnieniami. Jakiegoż tajemniczego sposobu doktór użył? Wiele o tém mówiono. To było jednakże wiadomém, że Bej z radości, że jego córka wyzdrowiała, cenił bardzo młodego doktora i nie tylko że go złotem obsypał, ale nawet posłał do niego Sabtabę z podziękowaniem. Minister użył téj sposobności i wziął doktora do swojéj córki Dilary; ale jéj słabość uczyniła próżnemi jego usiłowania.

Pewnego wieczora w towarzystwie w miejscu gdzie Europejczycy się schodzą, opowiadał ten młody doktór o niemożności uzdrowienia córki ministra, Oskar był obecny i daleki od przeczucia roli którą odgrywał w tém zdarzeniu, z ciekawości. tylko przyjął udział w tej rozmowie.

— Czyli ta Afrykanka jest piękną? zapytał się?

—„Tak,“ odpowiedział doktór: „Dotychczas widziałem ją tylko zasłonięta, wczoraj jednak pod burzony ciekawością oświadczyłem Sidii Selimowi, że jeżeli żonę jego mam uleczyć, muszę ujrzeć jéj twarz, ażebym mógł słabość, która ją pożera, w jej rysach wyczytać. Musiał się temu poddać. Na jego znak zobaczyłem nakoniec najpiekniejszą Afrykankę, którą kiedykolwiek widziałem i z zadziwienia zostałem nieporuszony. Ta kobieta posiada więcej jak piękność; gorejąca dusza przemawia z każdego jej rysu; jej najmniejsze poruszenia wyrażają ogień miłości który odurza i upaja.

„Jak się zdaje, pan kochasz tę Afrykankę? zapytał się jeden z przytomnych.

—„Nie“„ odpowiedział doktor, „ale podoba mi się a nateńczas.“

— A nateńczas?“ zapytał się Oscar, który pochwycił rękę doktora

—Cóż czynić należy? „odpowiedział tenże, Pan konwulsyjnie sciskasz mają dłoń:“

W tém miejscu rozmowa przerwaną została

Oscar miał jednakże noc bezsenną, udał się bardzo rano do doktora i prosił go, ażeby go Sidi Selimowi jako doktora przedstawił i jako jedynego, który żonę jego uleczyć jast w stanie.

Doktór z początku był zdziwiony. Prócz obawy zkompromitowania się dręczony był jeszcze zazdrością odstąpienia kobiety, która się jemu także podobała; nie będąc jednakże prawdziwie zakochanym i jako przyjaciel Oskara przystał wkrótce na wszystko.

Tego samego dnia został sekretarz konsula w haremie Sidi Selima jako doktór przedstawiony.

Kiedy jéj mąż i Oskar weszli, spoczywała Dilara niedbale na dywanie, wyłącznie zajęta jedynym przedmiotem swych marzeń.

Powoli zwróciła swoje wilgotne i smętne oczy na wchodzących; ale nagle wyrwał się z jéj piersi wykrzyk uniesienia i miłości; miałaż wierzyć swoim oczom? Niebyłoż to złudzenie, czyli rzeczywiście stał jéj kochanek przed nią? To gwałtowne wstrząśnienie rzuciło ją znowu zemdloną na poduszki.

Sidi Selim przypisał to zemdlenie wzdrygnieniu, że z odkrytą twarzą okazała się przed obcym mężczyzną. Europejczyk zaś nie podzieał téj myśli, nie wiedział jednakże jak sobie miał tłómaczyć to zemdlenie.

Od tego dnia zaczeło się zdrowie Dilary polepszać, ale chytra ta Afrykanka umiała wyleczenie swoje bardzo znacznie przedłużać. Skoro jednak nakoniec Oskar swoją piękność nie mógł już dłużéj jako doktór odwiedzać, wchodził do niéj w przebraniu kobiecém, co mu się bardzo udawało, albowiem zyskał na swoją stronę starą murzynkę, która czuwała nad całym haremem. Prócz tego Sidi Selim otrzymał rozkaz, udania się do wiejskiego domku, gdzie się Béj znajdował. Po jego powrocie, odwiedziny w Haremie stały się rzadszemi i krótszemi, Oscarowi wróciła się wolność myślenia o innych przyjemnościach.

Afrykanka zaś w zamian, oddała mu życie i całą swoją duszę. Każdego poranku przynosiła Monska młodemu człowiekowi, symboliczny bukiet, za ten który on Dilarze zwykle przesy-

łał; jak wiadomo jest to jedyny sposób korespondowania z damami na wschodzie.

Pewnego dnia kiedy Monska od sekretarza powróciła, opowiedziała pani, że Europejczycy chcą dać paradną ucztę i zaprosili na nią najznakomitszych Maurów i cudzoziemców, którzy się w Tunis znajdowali.

Pierwsza myśl tego pochodziła od pewnéj młodéj Europejki, która życzyła sobie tańczyć w Afryce i wiele biednych piękności, które spędzały życie swoje w haremie; zaczeły swój los porównywać z kobietami europejskiemi; zazdrościły im że one nie mogą na tej uroczystości błyszczéć i być boginiami tego balu.

Z wszystkich zamieszkujących harem, Dilara, ta piękna Afrykanka, tworzyła sobie najsmutniejszy obraz téj uroczystości. Ileż razy Oskar żywemi farbami skreślał jéj podobne przyjemności. Teraz przebiegała pamięcią wszystkie jego wyrazy, nawet przypominała sobie że w ostatnich czasach nie spoglądał na nią z tem zachwyceniem jak dawniéj. Przeczuwała swoje nieszczęście i już wcześniéj skrapiały się jéj lica łzami. Bal ten przestraszył ją w najwyższym stopniu i posła-

ła murzynkę Mońska do sekretarza, prosząc go ażeby dla niéj tę uroczystość poświęcił.

Oskar wysłuchał to życzenie z litosnym uśmiechem, pokrył jednak przez grzeczność, odmówienie swoje rozmaitemi wymówkami i związał niemi bukiet pełen znaczących kwiatów. Widzieliśmy, jak szczegółowo liście i kwiaty tego bukietu spoczywały na marmurowéj posadzce tarasu i jak Dilara wśród napadu gniewu i zazdrości powzięła śmiały zamiar udania się na bal.

II.

Niewolnik Zara którego czarna Monska do pani przywołała, był mlecznym bratem Afrykanki i dla tego podług zwyczajów wschodnich uchodził za członka familji. Wzrosł razem z Dilarą i służył jéj z prawdziwie zagorzałą uległością.

Wkrótkości dała mu swoje rozkazy i pomimo obawy którą z powodu tak odważnego kroku wyraził, szczególna radość ogarnęła jego serce; szczęśliwy i dumny z tego, że jego pani wybrała go jako towarzysza, uważał tę łaskę jako nagrodę, ponieważ ona wystawiając się tam na największe niebezpieczeństwo, powierzała jemu jedynie możność bronienia jéj.

Przebrała się; jéj misterne nóżki skryły się w arabskich bucikach i owinięta w burnas była podobną do młodego mieszkańca z Siffef. Skoro ukończyła swoje ubranie podniosła poduszkę dywanu i wyjęła z pod niéj sztylet który tam miała ukryty; ale Zara przystąpił do niej, wziął ten sztylet który za pas włożyć chciała, obejrzał troskliwie jego rękojeść i zwrócił jéj nakoniec ten który sam nosił, dając przez to poznać że ten jest lepszy.

Wązkie i ciemne wyjście wyprowadziło ich z haremu, Zara rzucił na swoją panią skoro próg przebyli smutne spojrzenie; ale w téj chwili powierzchowność jéj była tak nakazującą, że siła jéj władzy rozpostarła nad nim czarodziejską moc. Postępował obok niéj nic nie mówiąc.

Na w pół spalone pochodnie na tarasach słabem już tylko światłem darzyły. To miasto Maurów spoczywało w głębokiém uśpieniu, tylko niekiedy małe brzmienie tonów wdzierało się do wązkich ulic. Im daléj Dilara ze swoim wiernym niewolnikiem postępowała, tem tony te zdawały się być wyraźniejsze, które bardzo ich ucho zajmowały. Nigdy jeszcze nie słyszała podobnéj muzyki. Kiedy już wyszli z ciemnych wązkich ulic, odkrył się nagle ich oczom plac jasno oświecony. Na chwilę musieli zamknąć swe olśnione oczy. Stanęli jakby oczarowani. Obrąb placu błyszczał tysiącznemi kolorowemi lampami. Wszystkie narodowe kolory okazały się tam w przezroczystych grupach i w całości tworzyły symbol ogólnéj uroczystości, która przez jednę część ziemi drugiéj, to jest przez Europę Afryce dawaną była.

Uroczystość ta jaśniała pierścieniem który dwie te ziemie miał połączyć. Dilara i murzyn zbliżali się coraz więcéj do tych miejsc. Serce Afrykanki biło tak silnie i szybko że przechodząc marmurowe schody ozdobione wonnemi kwiatami, byłaby zemdlała gdyby wierne ramie jéj przy-

jaciela nie wstrzymało ją. Wziął ją w swoje objęcia i przeląkł się bladością jéj twarzy odsłoniwszy kaptur burnusa.

— Wróćmy lepiéj, rzekł do niéj.

— Nie! odpowiedziała Afrykanka, któréj te słowa zdawały się wracać stracony zapał. Przyspieszała biegu i dostała się do pierwszéj sali.

Ta sala do któréj Dilara i jéj niewolnik weszli, była przeznaczoną, dla służących którzy na swoich panów oczekiwali. Z trudnością jéj przyszło wydobyć się z tego tłoku i utorować sobie drogę do sali w któréj się bal odbywał. Szeroko roztworzone podwoje, dozwoliły jéj wolnego rzutu oka; z wyciągniętą szyją, z chciwém spojrzeniem przebiegała rozmaite grupy, które się w sali poruszały, ale zaledwie zaczeła swoje poszukiwania, kiedy jéj oko spotkało poważną twarz jéj ojca Sabtaby i Sidi Selima jéj męża, którzy się znajdowali w liczbie zaproszonych.

Zbiegła piękność haremu uczuła drżenie wszystkich członków, ale ten chwilowy przestrach, wkrótce ją ominął i zamienił się w nieopisaną

radość. W liczbie Europejczyków nie znalazła tego którego oczekiwała. Jéj twarz zrumieniła się pod uczuciem szczęścia, a jéj pierś wzniosła się swobodniéj. Czegóż się jeszcze mogła obawiać? Oskar był nieobecnym. Bez wątpienia, myślała sobie, usłuchał jéj prośby i wzruszył się jej cierpieniem; pytała się już siebie przez jaką ofiarę wynagrodzi jego poświęcenie.

Zapominała o sobie w tym kołyszącym się obrazie przed jéj oczyma, i oddała się zupełnie mocy swoich uczuć, które przez obracanie się tańczących i magnetyczne działanie przyjemną wonią i harmonijnemi tonami wypełnionéj atmosfery, bardziéj jeszcze na nią wpływały. Jéj myśli krzyżowały się i w walce z sobą tworzyły szczególną sprzeczność. Ciekawość skłoniła ją na inne kobiety a najbardziéj na Europejskie kobiety uważać; suknie, obejście i znakomity udział tychże w téj uroczystości zadziwiały ją. Fantastyczne kadryle, w których się one ukazują, do najwyższego stopnia zajęły jéj uwagę. Drżała, widząc łańcuch par tańczących galopadę. Zazdrościła nareszcie ich

przyjemności i tych hołdów których wszędzie doznawały. Widok który zraził jéj wschodnią wyobraźnią był to taniec walcujących. –Niepojmowała jak małżonkowie w Europie mogą znosić takie zabawy ich żon. Wnosiła z tego że ich uczucia są tak wolne jak ich klimat; ponieważ ona, ta gorejąca Afrykanka, czuła, że gdyby Oskara podobnież w objęciach innych ujrzała, zazdrość jéj wydobyłaby się z niéj w całéj wściekłości. Ale spłoszyła tę myśl, jak świeży poranny wiatr rozpędza grupę ciemnych chmur i uważała znów na uroczystość.

W innych oczach byłyby europejskie piękności zaćmioné blaskiem i świetnością przez niebezpieczne rywalki. W jéj zaś, przeciwnie, okazały się żydówki w ich całym bogactwie i piękności. Surowy wyraz ich rysów, świeżość cery, przez włos czarny zdobiący ich skronie i błyszczące kamienie, były jeszcze bardziéj wzniesione. Jéj wyobraźnia dziwiła się nad takim zbiorem bogactwa, ich głowa, piersi, ramiona i nogi, które suknia nie okrywała, jaśniały blaskiem djamentow.

Dilara poddała się zupełnie swoim uwagom, kiedy nagle została zbudzoną, szelestem kroków i su-

dy nagle została zbudzoną, szelestem krokow i sukien którą się o nią obtarły.

Obejrzała się.

Przytłumione westchnienie wydobyło się z jéj piersi, które bezwątpienia usłyszaném było od tego który wszedł, albowiem odwrócił się. Ale barnus okrywał całkowicie postać i twarz Afrykanki i dla tego też obojętnie udał się dalej. To jedyne spojrzenie zgruchotało słodkie marzenia które sobie nadzieja Dilary utworzyła. Oskar przeszedł koło niéj a na jego ramieniu spoczywała młoda Europejka.

Afrykanka scisnęła konwulsyjnie rękę niewolnika i wskazała mu spojrzeniem Europejkę. Wydawała się jéj piękną, a twarz Oskara błyszczała radością. Usiadł za swoją pięknością i schylił swoją głowę na jéj białe ramie którego jego usta słabo dotykały.

Przeciw wszelkiej roztropności zapominając że Sabtaba i Sidi Selim obecnemi byli, Dilara udała się w miejsce gdzie się Oskar znajdował. Ale wierny Zara odgadł jéj zamiar. Widział niebezpieczeństwo na które się wystawia jeżeli się do sali uda, nie mając do tego prawa,

wziął dla tego dwa talerze z sorbetem i dał je swojéj pani, dając jéj do zrozumienia ażeby roznosiła te sorbety.

Z talerzami udała się Dilara do Oskara kiedy Sidi Selim, który się w bliskości znajdował, zażądał od niéj sorbetu. Musiała być posłuszną ale drżała tak mocno podając talerz mężowi, że byłaby niezawodnie wszystko upuściła, gdyby Zara nie pospieszył jéj na pomoc. Afrykanin pomruknął cóś o niezręczności ale wcale nieprzeczuwał kto mu usłużył tak niezgrabnie.

Zara probował już kilkakrotnie wyprowadzić swoję panią z sali balowéj, ale opierała się ciągle chcąc się aż do Oskara dostać. W tym momencie przechodził koło niéj i prowadził Europejkę do kadryla. Dilara stanęła za nią i z głęboką nienawiścią uważała wdzięk cudzoziemki, widziała także jak spojrzenie Oscara z żądzą spoczywało na téj białéj przezroczystości płci która w równywała zasłonie rożą rozpostartéj. Po tém nastąpił walec i te cierpienia nie dadzą się opisać, których Afrykanka doznawała. Nienawiść w jednéj chwili zamieniała jéj wrzącą krew w zlodowaciałą i pędziłają z żył do serca.

Gdy to przesilenie dosięgnęło najwyższego stopnia, w chwili kiedy Dylara mimochętnie za sztylet porwała i już w połowie go z pochwy wyciągnęła, wyraził Sabtaba swoje nieukontentowanie że niewolnik postępuje przeciw wschodniej grzeczności i pozostaje w tymże pokoju, gdzie i on, kiedy jego obecność z braku usługi już nie jest potrzebną, uderzył ją kilka razy pięścią po ramieniu i polecił żeby się oddaliła. Albo Dilara nie usłyszała tego rozkazu, albo też surowością tą zupełnie odurzoną została, dość że pozostała w miejscu nie poruszoną i Sabtaba którego gniew tém jeszcze był bardziéj rozdraźniony, powtórzył uderzenia i porwał za kaptur ażeby odsłonić twarz niewolnika. Zara jednak lotem błyskawicy wstrzymał tę śmiałą dłoń, która się odważyła jego panią zaczepić i uderzył Sabtabę tak silnie że tenże upadł na ziemię. W czasie kiedy liczni świadkowie po tem zdarzeniu otoczyli ministra, wziął murzyn ramie Dylary i zaprowadził ją szybko do przedpokoju. Ludzie Sabtaby którzy uważali upadnięcie swojego pana, tłoczyli się do salonu i byłoby nieroztropnie wracać przez niego. Zara spostrzegł okno,

które na balkon wychodziło, otaczający ten gmach. Silnem ramieniem podniósł Dylarę i wraz z nią wstąpił na niego. Tutaj znaleźli schronienie. Ukryci pomiędzy kwiatami, postanowili oczekiwać, dopóki sale nie będą próżne, ażeby oddalić się następnie.

Przypadek Sabtaby, był tak mało znaczącym że staranie o niego wkrótce ustało. Bal odbywał się daléj bez przeszkody; ale Dylara nie myślała już być świadkiem jego. Zapomniała o wszystkiém, wyjąwszy zamiarów zemsty i tęskniła do ciszy haremu, ażeby tam swobodnie

o nich myśleć mogła. Czas upływał jéj z bolesną opieszałością dopóki nie usłyszała lekkich kroków i cicho wymawianych wyrazów w bliskości.

Zazdrość i rozpacz miały tego wieczora cząstkowo zatruć serce Afrykanki pożerającym bólem. Znowu Oskar! Oskar to był, który się ukazał wraz z Europejką.

Usiedli za krzakiem kwiatów który ich zasłonił. Mogła za wyciągnięciem ręki dosięgnąć tę parę. Rozmowa która z początku z jedno sylabowych słów się składała, powoli stała się żywszą. Oskar mówił sam w języku jéj nie znanym, ale bardzo dobrze pojmowała myśl tych wyrażeń. O, znała ona już czarowny dźwięk tego głosu! Także i Europejka nie mogła się jemu oprzeć. Opuściła głowę na ramię młodego człowieka i Oskar pokrył jéj spragnione usta, gorącemi pocałowaniami.

Na ten odgłos nie mogła się już Afrykanka wstrzymać; powstała, trzymając sztylet w ręku i uderzyła na ślepo.

Oskar który się uczuł lekko zranionym,

odwrócił się natychmiast i już rzucił Dilarę na ziemię, kiedy Zara ukazał się i wmięszał do walki, która byłaby straszliwe skutki przyniosła. Europejczycy, Maurowie i żydzi pospieszyli na balkon i Sidi Selim wyrwał skrwawionego Oskara z rąk wściekłego przeciwnika, który byłby go niezawodnie udusił.

Teraz pomyślał wierny murzyn o ocaleniu swojej pani. Jedną ręką porwał ją, drugą zaś trzymał sztylet którym torował sobie drogę w tłoku który mu ustępował. W ostatniéj sali postrzegli Zara i Afrykanka, zemdlonego Oskara otaczonego osobami które go ocuciły. Dylara z początku uważała go za umarłego i uczuła mocną boleść; ale tenże otworzył nagle oczy i zwrócił się z obawą do podobnież ranionéj Europejki leżącéj obok niego. To spojrzenie na nowo zrodziło całą wściekłość Afrykanki. Spuściła kaptur swojego burnusa, uśmiechnęła się do zranionego, przejęta nienawiścią, pobiegła następnie do schodów marmurowych i zniknęła.

Oskar który ją poznał bezwątpienia, wydał krzyk zadziwienia a może nawet i żalu. Te-

raz poznał całą tajemnicę i czynił sobie wyrzuty.

Zara dla zapewnienia bezpiecznego oddalenia się swojéj pani został przy wejściu. Jakkolwiek ciężko zraniony bronił się jednak ciągle. Był już bliskim ulegnięcia, skoro Oskar sam blady i chwiejący się zbliżył się i śmiertelny cios wstrzymał, który groził piersiom murzyna.

— Ratuj się; zawołał na niego po Arabsku.

Niawolnik odwrócił się i uciekł; ale Afrykanie posłali w pogoń za uciekającym swoich ludzi. Kiedy go już prawie dosięgali, oparł się o drzwi pewnego domu, ze stałém postanowieniem bronienia się aż do ostatniéj chwili.

Drzwi które w téj chwili z wewnątrz otworzono, dozwoliły niewolnikowi wejścia do tego domu, biegł szybko przez podwórza i korytarze, i nakoniec przy drzwiczkach małych, upadł bez zmysłów.

Zgraja która go z mściwym hałasem ścigała zatrzymała się tu i z uszanowaniem cofnęła się od tych niedostępnych granic. Uciekający uszedł

im. Upadł on przy drzwiach pewnego haremu, i teraz kobiety miały tylko to prawo, stanowić o jego losie.

Znajduje się na wschodzie święcie wypełniany zwyczaj, że każdy potępiony zbrodniarz, który się na próg haremu schroni zostaje tamże pod opieką kobiet. Mogą go wpuścić do swoich mieszkań, albo też go wydać, co się jednak rzadko zdarza.

W momencie ukazał się niewolnik tych kobiet, i oznajmił mieszkankom haremu, obecność Zary. Wypadły natychmiast, i wprowadziły zranionego do siebie.

Tłoczyły się koło niego i obsypywały go zapytaniami; niewiasty na wpół ubrane i zaspane wkrótce zapomniały o tém, że władają jego przeznaczeniem. Przeklinały Europejczyka który się stał powodem ych cierpień. Bezwątpienia, gdyby tam był obecny, skazałyby go na śmierć, ale każda z nich w milczeniu taiła życzenie poznania go. Dzisiaj ukarałyby go, jutro możeby go kochały.

Niewolnik został opatrzony, ale jego poświę-

cenie miało go życie kosztować. Skonał, mając jeszcze na ustach imie swojéj pani.

Afrykanka ze swojéj strony błąkała się, od czasu opuszczenia balu, po wszystkich ulicach Tunis, których nie znała, albowiem rzadko one przechodziła. Postępowała na ślepo po rozmaitych krętych drogach, dopóki nagle nie ujrzała się otoczoną od tłumu niewolników z pochodniami, którzy dwie osoby odprowadzali z balu. Był to Sabtaba i jego zięć Sidi Selim.

Afrykanka na ten widok chciała uciec; ale spostrzeżono ją, i poznano w niéj jednego z tych niewolników, którzy Europejczyka zranili. Została więc schwytaną i do mieszkania Sabtaby zaprowadzoną.

— Odsłoń twarz twoją, rzekł tenże, wraz z Sidi Selimem, spoczywając na dywanie i rozpoczynając badanie Afrykanki, która ciągle jeszcze burnasem okrytą była.

Nie ruszyła się wcale.

— Bądź posłuszną! — zawołał Sabtaba piekielnym głosem.

Na ten czas postąpiła ku niemu szybko i rzekła półgłosem.

— Przed tobą tylko!

Sabtaba zdawał się być zdziwionym. Smutne spojrzenie rzucił na nią. Bolesne przeczucie ogarnęło go.

— Kto jest twoim panem? zapytał się łagodniéj.

Dilara milczała.

Minister tonem rozkazującym powtórzył zapytanie.

Afrykanka poznała, że już była zgubioną wyciągnęła rękę do Sidi Selima, który spokojnie swoją fajkę palił i rzekła.

— On tu jest.

Sidi Selim powstał zdziwiony i zawołał: — Twoje imie, niewolniku, twoje imie, odsłoń się.“

Już podniósł rękę do kaptura ale Dilara cofnęla się, rozdarła pas, który utrzymywał to okrycie, i padła mu do nóg.

Krzyk zadziwienia, boleści i wściekłości w jednym czasie wydobył się z piersi ministra i jego zięcia.

Obadwa spoglądali na tę piękną Afrykankę, ojciec, blady z rozpaczy, mąż czerwony z gniewu. W jéj tylko oku spoczywała spo-

kojność i poddanie się. Przed wzrokiem ojca spuściła oczy, zaś przed wzrokiém męża wznosiła je swobodnie.

Kilka minut upłyuęło w milczeniu.

— Dla czegóżeś opuściła harem? zapytał się powoli Sabtaba.

Nic nie odpowiedziała.

— Dla czego chciałaś zamordować Europejczyka? zapytał się Sidi Selim, któremu gniew zupełnie głos odmienił.

— Ponieważ kochałam go, odpowiedziała Dilara.

Sidi Selim usiadł znowu na swojém miejscu; nastąpiła pauza, nakoniec zwrócił się do ministra i zapytał go: — Na jaką karę zasługuje ta kobieta?

Twarz biednego ojca wskazywała okrutną walkę powinności z przywiązaniem; odzyskał jednakże wkrótce spokojność, którą był winien mocy swojego charakteru i zmienił z córką kilka bardzo znaczących spojrzeń.

Było to pożegnanie, następnie odpowiedział:

— Śmierć!

— Nie, odparł mąż, z złośliwym uśmie-

chem. — Sprzedam tę kobietę jak niewolnicę.

Po tych słowach zwróciła Afrykanka swoją twarz na niego, z któréj taka pogarda przemawiała, że nie mógł znieść tego spojrzenia.

— Zaprowadzić ją na targ niewolników! rozkazał niewolnikom.

Afrykanka która aż do téj chwili trzymała rękę w fałdach obszernéj tuniki, wyciągnęła ją teraz z wielką szybkością. Trzymała w niéj sztylet, i z przebitą piersią padła w ręce niewolników, którzy przybyli dla wypełnienia rozkazu swojego władcy.

JAŁMUŻNA

W GRZE

Benedykt wziął mnie za rękę i rzekł:

Jesteś zdziwiony moją nieobecnością zeszłego Piątku u pani de Graves; znajdowałem się tam jednakże, ale zaledwie przybyłeś, wyszedłem, pytasz mnie się teraz czyli się tam udam

Nadzwyczajne długi których wielkie procenta przestraszały mnie; długi które bezprzestannie spłacałem, i które wznawiałem z kolei, stosownie do okoliczności, wszystko to nie objaśnia mnie w niczém, jakim sposobem czyniłem zadość mym obowiązkom i jakem odpowiedział zbytkowym potrzebom, które sam sobie tworzyłem! Niewiem czyliby pani de Graves którą ciągle zajmowałem moją obecnością, w téj zimie odkryła moje pieniężne nieprzyjemności, będąc przekonaną że nie mam innych źródeł i wzruszona moim bolesném położeniem, postanowiła mnie wspierać jałmużną w grze. Już to wątpliwości nieulega, że o ile sobie przypominam, rzadko kiedy u niéj zostawiałem pieniądze, nie trzymając nawet kart w ciągu czterech partji z kolei, ażebym nie miał dwóch na czterech jako moich przeciwników. Ale do téj chwili urządzenie to uszło mojéj uwagi. Ale w piątek postępowanie jéj było tak niezręczne, albo raczéj przypadek tak ją feralnie zdradził, że w obecności pięciu osób, najmniéj pięciu, przypuszczając nawet, że będą delikatnemi, honor mój doznał uszczerbu w całéj mojéj przyszłości. W Piątek dawała pani

dzisiejszego wieczora? nie, nigdy to już nie nastąpi.

— I dla czego? zawołałem uderzony tonem nadzwyczajnym, który brzmiał w tych wyrazach.

— Ah! jest to okoliczność wymagająca zupełnéj tajemnicy, odpowiedział strapiony Benedykt.

— I wachasz się powierzyć mi ją? rzekłem biorąc go za rękę, którą pragnął z mojéj wydobyć.

Zamilkł, spuścił oczy i zdawał się namyślać, następnie oparł się z konwulsyjną siłą na mojém ramieniu, co dostatecznie przekonywało o cierpieniach które go dręczyły.

— Niech tak będzie! jesteś moim przyjacielem, przytém tajemnica ta zabija mnie...Posłuchaj wszystko ci opowiem.

I tak zaczął.

— Od roku jak moja rozrzutność niszczy już szczątki mojego dziedzictwa, życie które prowadzę, to życie pełne zbytków, głupstwa, jakkolwiek zwyczajne i łatwe, stało się tak dziwaczną zagadką, że zastanawiając się nad nią, wyznaję, z trudnością przyszło by mi się wytłomaczyć

de Gravel ostatni wieczór przed odjazdem do wód. Dzień był niezmiernie ciepły i jakkolwiek bądź zebranie było dość liczne, składało się jednakże z samych przyjaciół. Usiadłem do ecarté przy jednym stoliku wraz z Albertem de Rhevil. Eugieńjusz Sainclair stary, hrabia Pausili i jego dwaj siostrzeńcy, usiedli koło nas. Albert wkrótce wygrał dwie partje ode mnie a ponieważ żaden z tych panów nie żądał mnie zastąpić, rozpoczęliśmy trzecią. Kiedy w tém pani de Gravel zbliżyła się do Alberta i uprasza go ażeby ustąpił jéj swojego miejsca. Sainclair i siostrzeniec zakładali się na jéj stronę, Albert przeszedł do mnie mówiąc że po korzyściach które odnosił nade mną, nie może działać przeciwko mnie i nawet sam hrabia pomimo poprzedniéj mojéj niepomyślności chciał sprobować mojego szczęścia; przegrałem jeszcze dwie partje, każdą po lujdorze. Następnie gra doszła szczególniejszy zmiany, zaklady coraz bardzié się pomnażały,znajdowało się pięćdziesiąt,ośmdziesiąt, nawet sto lujdorów na stoliku, które ponieważ los przestał mi już być nieprzyjaznym, stały się naszą ofiarą i zostały rozdzielone po-

między mnie Alberta i hrabiego. Od téj chwili, pomyślność moja spiesznie wzrastała. Byłem odurzony. Jednakże hrabia przestał się już zakładać, Albert wachał się, uważał mnie i z niechęcią korzystał z mojego szczęścia; pani de Gravel była bardzo zarumienioną i zmieszaną; dwaj Pausilowie i Sainclair nie ustali w zakładach przez grzeczność. Widziałem co chwila jak wznosili ramiona z niecierpliwości, przygryzali wargi jak gdyby moja przeciwniczka popełniała nadzwyczajne błędy. Ale żaden z nich nie ośmielił się cóś wyrzec, ja zaś nic nie pojmowałem. Byliśmy już po szóstéj partji którą wygrałem. Pani de Gravel podając mi karty do zmieszania odwróciła przypadkiem tę którą położyła do odrzucenia.

— Pani odwróciła króla! zawołał Eugienjusz Sainclair śmiejąc się złośliwie.

Ta uwaga była dla mnie promieniem światła. Nie mogę powiedzieć czyli to okrutne podejrzenie które powstało w mojéj głowie, malowało się także w moich oczach; zdawało mi się że spojrzenia wszystkich są na mnie zwrócone czułem się być wstydem okryty.

— Król krzyknąłem; pani odwróciłaś króla! pan widziałeś to i nic nie powiedziałaś.

— Oh! rzekła pani de Gravel tonem wyrzutu, ja która się wam zwierzyłam.

-- Dopiero teraz to spostrzegłem, odpowiedział Sainclair obawiając się daléj posunąć, pani dobrze sądzi...

Ta partja nie może być uznaną odpowiedziałem.

— Oh! nie, odparła; ja ją przegrałam; z mojéj własnéj nieuwagi... Winną jestem tylko tym panom usprawiedliwienie a nawet wynagrodzenie.

Sainclair i siostrzeńcy hrabiego sprzeciwiali się temu zamiarowi, pani de Gravel była uporczywą; ponieważ w miarę jak jéj zimna krew wracała, jéj postępek okazał się dla niéj w prawdziwem świetle i dla tego tém więcéj chciała się obciążyć stratą w obec tych którzy na to nie chcieli zezwolić. Spór się ukończył i ona widocznie wzruszona, wymawiając się obowiązkami gospodyni, oddaliła się i zostawiła grę Sainclairowi, z nadmienieniem ażeby był szczęśliwszym i bardziéj uważał jak ona. Ale gra nie wznowiła się.

Przez chwilę rozmawiano o strojach, koniach, widowiskach, następnie liczba gości zaczęła się pomnażać i każdy usunął się albo zniknął w tłoku towarzystwa. Mając wolność do robienia sobie uwag, pytałem siebie co mam z temi pieniędzmi uczynić, których nie mogłem ani zostawić ani zatrzymać. Żaden sposób nie wydobył się z moich myśli dla uwolnienia mojéj sakiewki i mojego sumienia od tych pieniędzy; wszystko albowiem osądziłem za niestosowne lub śmieszne.

Nagle usłyszałem że ciebie zameldowano w pierwszym salonie; nie chcąc cię spotkać wstanie w jakim się znajdowałem, wyszedłem unosząc moją zdobycz jako dowód występku. Nazajutrz dopiero marząc swobodniéj o zaszłym wypadku, szczęśliwą myślą zostałem natchniony. Wyobrażałem sobie jako szlachetną zemstę, udać się do pani Gravel, uwolnić się od pieniędzy które pozwoliła mi wygrać i prossić ją ażeby wróciła te summy do kogo należą. Ale niestety! było już zapóźno: ranna wizyta jednego z wierzycieli uczyniła nie zwyciężoną trudność.

W ten sposób mówił Benedykt i dodał:

— A więc jakąż teraz masz o mnie opinję? Czyli to opowiadania twoją wzgardę lub litość

zyskało? Wynalazłbyś przyczynę któraby przytłumiła moje cierpienie? Będęż miał moc do przekonania się lub do pocieszenia. Nie, jeszcze ci całej mojéj duszy nie odkryłem, jeszczem ci nie powiedział ile byłem godny pożałowania. Ażeby ocenić ile cierpię, ażeby zjednać sobie twoje współuczucie, nie ujmując nic z mojego szacunku, jeżel go jestem jeszcze godny, potrzeba tylko tego wyznania z mojéj strony: od sześciu miesięcy kocham panią de Gravel, i posiadam to przekonanie że zrozumiała moje uczucia.

Po tych słowach, Benedykt scisnął mi rękę i pożegnał mnie.

Nie chciałem mu towarzyszyć i wstrzymać łzy które miały mu spłynąć i nie oskarżam go ani o przesadę ani o dziecińst wo; nie obciążałem go ani zdaniami ani radą, ponieważ są pewne boleści, które nie mają innych środków nad samotność milczenie i czas.

Do A. B.

Bawmy się życiem — piękny kwiatek róży,
Słońce go wskrzesi, zefirek rozwinie,
Uśmiechnie się, szczęśliwy i w téjże godzinie,
Płomień go słońca zwarzy, cios zabije burzy;
Bawmy się życiem, gdy twoje lica,
Młodości krasi kwiat.
Kiedy nie brudzi oka łzą tęschnica,
Ani potęga lat.
Swieża!... jak ranek gdy w wiosennéj porze,
W bladawéj chmurze rozleje się zorze,
A słońce światłem migając powoli,
Pieści kwiateczki, z wietrzykiem swawoli,
Słodka... jak dziewicy tchnienie,
Gdy jéj myśl błąka się,
Po krainie urojeń — Anielskie marzenie
Uroczy śnie!
Piękna..., jak pierwszéj młodości obrazy,
Które myśl ryje na sercu młodziana,
Jako róży szkarłaty, jak zorza rumiana,
Zniknie i znów ją ujrzysz piękniejszą sto razy.
Piękuaś—jako twe spojrzenie,
Co dotąd w sercu tkwi,
Słówko, twój uśmiech, słodycz, westchnienie
Pamięć śmi...
Bawmy się życiem... młodości kwiat drogi,
Słodką wonność rozlewa i duszę nią poi,
Zrywamy go —zerwałem..w sercu,w duszy twojéj,
Odebrałeś mi kwiatek zostawiła głogi.
Jak wietrzyk gdy po swawoli,
Odleci — tak i ty,
Widzisz żem smutny, że serce boli,
Ty ani łzy.

Bawmy się życiem, ty baw się miła,
Póki płomień namiętny uczuć nie zapali.;
Wstrząśniesz się, zadrżysz jak okręt wśród fali
Gdy burza wściekła wiatry pobudziła.
Zaśnij spokojnie, we śnie w sercu, duszy,
Usłyszysz wdzięk miłości stron.
Duszę twą zajmie, serce poruszy.
Dziewico straszny ton.
Stępiały zmysły, jak zefiru tchnienie,
Gdy mroźny Luty świat szronem pokryje.
Umarłym — nieba! ciebie, twe spojrzenie
Spotykam, płonę i na nowo żyję.
Chwytam westchnienia i tweunu słowu,
I błogosławię i klnę.
Odwróć oczy — umieram znowu,
Spojrzysz... o szczęściu śnię.
Kochanko moja, by choć tém imieniem,
Wolno mi było co dzień cię nazywać,
Nie... wolno... wolno.. co dzień się spodziewać
Żyć nadzieją..co dzień się zabijać życzeniem.
Marzyć! gdy oko łzy roni.
Nieczuć, rozkażesz ty?
Nie!..twoje oko mojego stroni.
Lecz razem czucia — łzy.
A kiedy echo jęk dzwonu powtórzy,
Płochy go wietrzyk po świecie rozwieje,
Przyjdź... przyjdziesz rzucisz na grób mój kwiat róży,
Westchniesz — co westchniesz?...a ja się rozśmieję
Późno... tak czuła... jak się serce wzrusza
Miłości minął czas...
Młodość ubiegła — uleciała dusza,
Niebieskie czucia stępił martwy głaz...
Dziewico dziś nie czas...

Juzef Łapacieński.

SPIS RZECZY

W TOMIE IX ZAWARTYCH.